



***DIANA MORGAN***



***SZALEŃCZA  
ESKAPADA***

Tytuł oryginału *Stranger than Fiction*

Celii Goodman, prawdziwej poszukiwaczce przygód.

Do Czytelnika

Jest to powieść przygodowa. Jej głównym zadaniem jest dostarczenie czytelnikowi dobrej rozrywki. Indianie Yapa i Mescalti istnieją jedynie w mojej wyobraźni. Przyznaję też, że moja wiedza na temat Peru nie jest rozległa.

D. M.

## *Rozdział pierwszy*

Jane White stała za krzakami, rosnącymi na skraju prymitywnej wioski Indian Yapa. Sprawdziła magazynek karabinu i zauważyła, że pozostał tylko jeden nabój. A jednak miała powód do radości — ciągle jeszcze żyła. Siedmiogodzinna wędrówka przez brazylijski las tropikalny dała jej się we znaki. Proste, kasztanowe włosy miała lepkie od brudu. Na twarzy, zwykle pogodnej, teraz widać było zmęczenie i niepokój.

Obejrzała się nerwowo za siebie. To cud, że zmyliła trop podążającemu za nią przeciwnikowi. Pocieszeniem dla niej był fakt, że w tej chwili Alabama Smith ma trudniejsze zadanie niż ona, jadąc w dodatku w złym kierunku.

— Wszystkowiedzący zarozumialec — mruknęła pod nosem.

Cofnęła się myślami do ich ostatniej wspólnej wyprawy, podczas której odnaleźli w Himalajach skarby starożytnego grobowca z czasów dalajlamy Trzeciej Dynastii i zaraz stracili wszystko w śnieżnej lawinie.

Jane westchnęła i zmarszczyła przewiązane chustką czoło, po czym przedzierając się przez gęste zarośla, myślała o chwili terażniejszej.

Znalazła się w opuszczonej wiosce Yapa.

— Nigdy mnie nie znajdziesz, Alabama — mruzczała. — Nigdy w życiu.

Nagle ktoś dotknął jej ramienia.

— Nie! To niemożliwe! Nie mogę w to uwierzyć — Odwróciła się, gotowa rzucić się na przeciwnika. — Alabama Smith, powinnam była wiedzieć, że nigdy...

Słowa uwięzły jej w gardle, gdy zobaczyła strzały stu tubylców wycelowane w siebie. Musiała działać szybko. Wyciągnęła mapę, rozłożyła ją i wskazała na zaznaczony punkt.

— Góra Zemsty — powiedziała. — Jest tam mnóstwo pięknych kamieni. — Podniosła z ziemi kilka kamyków.

Jeden z tubylców, mocno zbudowany mężczyzna w naszyjniku z paciorków, wskazał mapę, a potem widniejącą w oddali górę.

— Uru — powiedział, a jego współplemieńcy przytaknęli.

— Uru — powtórzyła szeptem.

Nie była pewna, czy tubylcy dobrze ją zrozumieli. Spojrzała we wskazanym kierunku i otworzyła usta ze zdziwienia.

— Uru! — wykrzyknęła podekscytowana. — Tak, więc to prawda. Tego szukałam! Legenda jest prawdziwa! Tam, w jaskiniach, ukryty jest skarb. Znalazłam! Sama! Wreszcie bez tego zarozumiałego typu, który potrafi jedynie kraść cudze pomysły! Odkryłam legendę Uru.

W tym momencie ponownie poczuła dotknięcie.

— Znalazłaś.

Uśmiech zgasł, gdy zdała sobie sprawę z tego, do kogo należał głos.

— Alabama Smith — jęknęła odwracając się. — Na całą zawiałość tego prymitywnego świata, czy musiałeś zjawić się właśnie teraz?

— Bardzo mi przykro.

Jane spojrzała w górę, skąd dochodził męski głos.

W jednej chwili dżungla z tubylcami zniknęła.

Zamiast Alabamy Smitha ujrzała starszego pana, stojącego między bibliotecznymi regałami, obok stosu jeszcze nie ułożonych książek.

Mężczyzna oczekiwał jej pomocy. W rękę, zamiast karabinu, Jane trzymała książkę.

— Och, przepraszam, panie profesorze Schmidt.

— O, więc znalazła ją pani. — Wskazał na książkę. — Legenda uruwiańskiego skarbu. Doskonale! —

Uśmiechnął się uszczęśliwiony. — Nie potrafię nawet powiedzieć pani, jak długo tego szukałem.

Jane starała się otrząsnąć z marzeń i pozbierać myśli. Nie była przecież w wiosce Yapa. Nie było też żadnego Alabamy Smitha.

Stała w bibliotece nowojorskiego college'u wśród pracujących przy ustawionych wzdłuż ściany stołach skupionych studentów.

— Znów pochłonęły panią marzenia, panno White!

Jane usłyszała surowy głos. Podniosła wzrok, a w jej zielonych oczach pojawiło się przerażenie.

— Och, przepraszam, Enid... to znaczy, pani Witherspoon.

Zamyśliłam się.

— Doprawdy? Tu, między regałami? Zwykle rozmyślałaś w ciemni fotograficznej.

— Zachwyił mnie projekt profesora Schmidta. — Westchnęła Jane, spłoszona sarkazmem przełożonej.

— To dla mnie komplement — wtrącił jowialnie profesor, siadając ze swoją książką przy stole.

— Szkodzisz sama sobie, moja droga. — Pani Witherspoon pokiwała głową. — Sądzę, że znalazłabym co najmniej tuzin chętnych na twoje miejsce. Musisz się starać. — Wskazując półkę w drugim kącie sali, dodała: — Dwóch moich pracowników jest na wakacjach. Dobrze ci zrobi,

jeśli skatalogujesz tamte książki. Wszystko to są nowe wydania. Nie będzie to zbyt skomplikowane.

„Skomplikowane może nie, ale strasznie nudne” — pomyślała Jane i westchnęła głęboko, licząc, ile jeszcze miesięcy pozostało do końca. Po raz pierwszy w życiu pracowała w bibliotece. Obiecała sobie, że zostanie tu przez rok, a minęło dopiero osiem miesięcy. Nie chciała, oczywiście, być wyrzucona, ale też nie chciała przyznać się, że popełniła wielki błąd. Nad podjęciem tej pracy nie zastanawiała się długo. Do tej próby podniesienia swoich kwalifikacji namówił ją

Warren. Był spokojnym, delikatnym mężczyzną, jej pierwszą i jedyną miłością, a jednocześnie naukowcem-fizykiem.

Oboje mieli bujną wyobraźnię. Był więc osobą, której bez obaw mogła zwierzać się ze swoich pragnień i marzeń. Warren nawet nie przypuszczał, żeby mogła którekolwiek z nich zrealizować, toteż snuła je bez ograniczeń. Chociaż kochała kiedyś Warrena z całego serca, nadszedł dzień, w którym zrozumiała, że w jej życiu musi pojawić się coś więcej, niż tylko niespełnione marzenia i człowiek zajmujący się ich podsycaniem. Ich przyjaźń nie miała perspektyw. Jane żyła w dziwnym stanie oczekiwania.

Zaczęła skrupulatnie przeglądać czekające na skatalogowanie książki. Nie mogła się jednak powstrzymać od ciągłego zerkania przez plecy profesora na książkę z ilustracjami odnalezionego w Meksyku skarbu.

— Czy to możliwe, żeby naprawdę istniał jakiś skarb? — szepnęła.

— Możesz być tego pewna, moja droga. — Profesor uniósł wzrok znad książki i uśmiechnął się. — Kiedy byłem w twoim wieku, odkryłem

w dżungli Ameryki Południowej ponad trzy tysiące różnych przedmiotów ze złota, pochodzących z czasów Inków. Prawdę mówiąc, to właśnie w tej bibliotece i w tym dziale znalazłem trzydzieści lat temu książkę, dzięki której odkryłem niewielki, lecz cenny grób Inków w Peru. — Profesor zamyślił się na chwilę. — Książkę tę napisał jakiś archeolog z przełomu wieków. Podobno znalazł on drogę do skarbów rozsianych po całej krainie Inków. Oczywiście, wszystko to zostało dawno pochłonięte przez dżunglę. — Oczy profesora zabłyszczały, gdy cofnął się pamięcią do lat młodości. — Torowanie drogi maczetami zajmowało nam tygodnie. Moskity prawie nas zjadły, ale skarb naprawdę wart był tego. Stary królewski grobowiec, pełen srebrnych i złotych przedmiotów, pokrytych przepięknymi ornamentami. Nie można było wywieźć ich za granicę, więc zostałem w Limie, aby je zbadać. Wtedy w sklepie z antykami znalazłem rzadki okaz azteckiego medalionu. Leżał pod stosem starych naszyjników.

— Znalazł go pan w sklepie z antykami? — zdziwiła się Jane. — Nie w czasie wykopalisk?

— Wyglądasz na rozczarowaną, moja droga. — Profesor zachichotał. — Ważne jest, abyś pamiętała, że interesujące przedmioty można znaleźć wszędzie, w każdej chwili. Musisz tylko zawsze mieć oczy otwarte. Sprzedawca nie miał pojęcia o wartości tego medalionu, więc zapłaciłem za niego grosze. Do dziś noszę go, jako pamiątkę najbardziej niezwykłego znaleziska. Przypomina mi o wszystkich skarbach, które są jeszcze do odkrycia. — Wyciągnął spod koszuli łańcuch i pokazał jej niewielki kamień z wyrzeźbioną na nim demoniczną twarzą. — Przepiękny, nieprawdaż? Podobno odstrasza moskity, malarię czy coś tam innego. Nie udało mi się odczytać tych maleńkich znaków na odwrocie.

Profesor zdjął łańcuch z szyi, aby pokazać medalion z bliska. Nagle czyjaś ręka wysunęła się zza jego pleców, chcąc przechwycić cenny skarb.

— Czy mogę?

Jane obróciła się gwałtownie i znalazła się twarzą w twarz z człowiekiem ze swoich snów. Ten człowiek, to niemal Alabama Smith, z tym, że żywy, z krwi i kości. Serce jej zadrżało, gdy pomyślała, że ten nieznajomy, kimkolwiek by był, nie był tworem jej wyobraźni. Był żywym człowiekiem.

Mężczyzna był wysoki i ogorzały, nie od opalania się, jak mogła przypuszczać, lecz od pracy na słońcu. Miał silne ramiona i prężne ciało emanujące energią, która sprawiła, że zadrżały wszystkie jej zmysły. Poczowała mrowienie, gdy spojrział na nią swoimi bystrymi oczami. Miała wrażenie, że zaraz zemdleje. Oboje natychmiast wyczuli, że między nimi powstało to szczególne, męsko-damskie zauroczenie, które nie wymaga słów. Oboje wiedzieli, iż nie mogą być wobec niego obojętni. Oczy Jane rozszerzyły się jeszcze bardziej, gdy ujrzała, że nieznajomy ubrany był w prawdziwy strój safari, z wielkimi kieszeniami i solidnym skórzanym pasem. Wrodzona ciekawość nie pozwoliła jej zachować reguł przyzwoitego zachowania — przyglądała się mężczyźnie natarczywie. Zauważyła przymocowany do pasa futerał z nożem myśliwskim, rzemień podtrzymujący kompas oraz rząd pustych kieszonek na naboje. Zaintrygowało ją, czy znajdowały się tam kiedykolwiek prawdziwe naboje, czy też ten atrybut poszukiwacza przygód jest jedynie gadżetem, kupionym w jakimś domu towarowym.

Jane i profesor obserwowali, jak nieznajomy wyciągnął z kieszeni szkło powiększające.



— Jestem pewien, że nie pochodzi on z kraju Yapa — zagaił życzliwie profesor.

— Rzeczywiście.

Usłyszeli głos stanowczy, wręcz władczy, lecz bardzo przyjazny. Jego właściciel wyjął z kieszeni metalowy rylec i zaczął delikatnie oskrobywać maleńkie symbole na odwrocie medalionu.

Okruchy piasku, odpadając z cennego przedmiotu, odsłoniły więcej znaków.

— Próbowałem już tego, ale bez powodzenia. — Profesor był zdumiony.

— Nie chodzi o siłę, ale o znajomość miejsc, w których należy ją przyłożyć. No, gotowe.

Mężczyzna podał medalion wielce podekscytowanemu profesorowi, aby ten mógł zbadać nowo ujawnione znaki.

— No cóż, będę... — Twarz profesora wyrażała głęboki wstrząs.

— Co!?! — Jane zdradzała najwyższe podniecenie. — Co tam jest napisane? Może pan to przetłumaczyć?

Profesor wcisnął nagle medalion do małej, damskiej dłoni.

— Proszę, to dla pani. Niech chroni panią przed moskitami i wszystkimi innymi insektami. — Wstał i odszedł, uśmiechając się do siebie.

— Nie mogę uwierzyć, że dał to właśnie mnie. — Zaskoczona wpatrywała się w plecy profesora. — Ten medalion jest bezcenny.

— Chyba raczej bezwartościowy.

— Co... ?

Nieznajomy zasugerował, by przeczytała inskrypcję. Jane obróciła medalion i zerknęła na mieszaninę symboli.

— Jak sędzę, nie zna pani inkaskiego dialektu. — Uśmiechnął się.

— Nie — odpowiedziała sucho. — Oczywiście, że nie.

— No cóż, jest to zupełnie zwykły medalion. Jest dziełem Inków, lecz w Peru może pani zdobyć wiele podobnych. Naprawdę nie jest wiele wart.

— Ale... to niemożliwe! Przecież tak wykształcony człowiek, jak profesor Schmidt nie mógł dać się tak łatwo oszukać!

— A to dlaczego? Gdy bardzo chcemy w coś uwierzyć, nietrudno nas omamić.

— Nawet, gdy dysponujemy tak ogromną wiedzą? — Jane wyglądała na przerażoną.

— Lub mamy wybujałą wyobraźnię. Jane wzdrygnęła się.

— Widziałam, jak rozmarzyła się pani nad książką o legendzie Uru. Proszę nie być tak zakłopotaną. Marzenia pozwalają oderwać się od codzienności. Rzecz w tym, aby działać, powodując ich spełnienie. — Wziął medalion z rąk Jane i uroczyście zawiesił jej na szyi. Cofnął się, aby ocenić efekt, a jego piwne oczy przesunęły się prowokująco po sylwetce dziewczyny. Zaśmiał się bez troski. Jego podobieństwo do Alabamy Smitha było szokujące. Jane marzyła, jak nastolatka, aby zapaść się pod ziemię.

— Smith — rzekł, wyciągając dłoń.

Tym razem omal się nie przewróciła. Nie, to absolutnie niemożliwe.

— Smith? — wyjąkała, wpatrując się w nieznajomego.

Skinął głową, a ona próbowała ujawnić swoje wcześniejsze, skrywane marzenia.

— Alabama... ?

— Nie, Michigan. — Spojrzał zdziwiony. — Jeżeli pytasz o uniwersytet. Jed Smith. — Przeszedł nagle na ton zawodowy. — Doktor Jed Smith, ale możesz mi mówić Jed.

— Michigan Smith. — Jane z trudem dochodziła do siebie. — To jest... panie Smith, jestem Jane White.

— Jed — przypomniał. — Ale możesz mnie nazywać Michigan, jeśli chcesz. Przyleciałem dziś rano, aby zobaczyć tę książkę. — Podał jej wypisany rewers. — Nasz komputer podał, że wasza biblioteka ma jedyny egzemplarz.

Jane spojrzała na papier i przeczytała głośno.

— „Drogi i akwedukty Yapy: geologiczny przyczynek do poszukiwań ukrytych skarbów starożytnych cywilizacji” — Zdjęła nieco za duże okulary i spojrzała zielonymi oczami. — A może ścieżki, które doprowadziły profesora Schmidta do zagubionego grobu?

— Bardzo możliwe, że korzystał z tej właśnie książki. To jest przewodnik, który uczy, jak znajdować starożytne drogi, oceniając gatunki i wiek roślin. Niezwykle rzadki podręcznik, czy raczej broszura — gorliwie wyjaśniał Jed Smith.

Nagle ktoś upuścił cały stos książek. Hałas, jaki powstał, mógłby obudzić umarłego. Jed obrócił się instynktownie, jakby spodziewał się ujrzeć za plecami gotowego do skoku kuguara. Jane była pewna, że gdyby miał broń w kaburze, natychmiast wyciągnąłby ją.

Jego dłoń powędrowała do futerału na nóż, a zwinne i silne palce spoczęły na rękojeści, oczekując na pierwszy ostrzegawczy sygnał.

Dziewczyna zaniepokoiła się.

— Wszystko w porządku? — spytała. Jed zamrugnął oczami i opuścił rękę.

— Przepraszam, jestem po prostu zmęczony. Nie spałem chyba ze sto lat.

— Z powodu tej książki? — Uniosła do góry rewers. — Czy to jest takie ważne?

— Tak, to bardzo ważne. — Westchnął ciężko, niemal hipnotyzując ją wzrokiem. — Widzisz, bardzo pragnę ją zobaczyć. Mogłabyś zaraz ją przynieść?

Nikt nie odmówiłby tej prośbie, w każdym razie nie ona.

— Jasne, ale obiecaj, że nie rzucisz w nikogo tym nożem, zanim nie wrócę.

— Przepraszam. Za długo byłem w dżungli.

— Oczywiście! Więc to dżungla jest powodem, dla którego jesteś taki nerwowy — stwierdziła, starając się ukryć emocje.

— No, niezupełnie — roześmiał się. — W dzikich lasach czuję się jak w domu. To raczej cywilizacja m-nie zżera. — Znow uśmiechnął się w ten szczególny, znajomy jej jakby od zawsze sposób. — Mogę prosić teraz o tę książkę?

Oczywiście, musiała spełnić jego prośbę. Odeszła szybko w kierunku katalogów. Stara karta poszukiwanej książki była na swoim miejscu.

Sprawiała wrażenie, jakby od dawna jej nie ruszano. Książka, napisana przez oksfordzkiego naukowca, pochodziła z 1887 roku.

— Też coś, taka stara — prychnęła Jane.

Wróciła do regału, z którego brała kilkanaście minut wcześniej książkę dla profesora Schmidta i zaczęła szukać broszury dla Jeda. Zajęło jej to dobre dwadzieścia minut i nie znalazła tam nic oprócz kurzu. Rozejrzała się. Książka o ludzie Yapa leżała tam, gdzie zostawił ją profesor Schmidt. Podeszła więc do stołu, aby zabrać ją i odłożyć na półkę. Zatrzymała ją wyblakła fotografia prymitywnej wioski i jej sen na jawie zaczął się toczyć ponownie. Ale tym razem twarz Alabamy Smitha zastąpiła inna.

Tubylcy z plemienia Yapa obserwowali w zdumieniu, jak młoda biała kobieta, w brudnym i zmiętym ubraniu, wycelowwała karabin między oczy mężczyzny, który nagle pojawił się wśród nich. Ubrany był w strój khaki, przewiązany na biodrach skórzanym pasem z nabojami. Miał ze sobą strzelbę i nóż.

— Słuchaj teraz dobrze, Smith — mówiła głosem spokojnym i pewnym. — Skarb Uru należy do mnie, więc wezmę go bez względu na okoliczności.

Jasne! — Mężczyzna rozłożył szeroko ręce. — Nareszcie cię odnalazłem! Tak bardzo się o ciebie martwiłem.

— Ty? — Zaskoczyło ją to przywitanie.

— Oczywiście! Przemierzałem te tropikalne lasy tylko po to, aby cię odnaleźć.

Serce jej drgnęło, lecz uśmiechnęła się do niego ironicznie.

— Nieprawda, przecież wiesz! Dotarłeś tu po to, aby zdobyć skarb.

— Jane, kochanie, jak możesz tak mówić? Czy naprawdę nie wiesz, ile dla mnie znaczysz? — Spojrzał na nią tak, że aż zamarła. Nie mogła

mu nie uwierzyć. Podbiegła do niego, dając się unieść nadchodzącej fali uczucia.

Jane powróciła na ziemię i spojrzała na nie kończące się rzędy pólek z książkami.

— Muszę uważać — mruknęła, kiwając głową. — On jest taki sprytny.

- Mnie masz na myśli?

Odwróciła się i ujrzała stojącego tuż za nią Jeda.

— Zawsze musisz to robić? — zapytała, zauważywszy, że mężczyzna trzyma dłoń na rękojeści noża.

— Przyzwyczajenie — odparł. Jego ręka nie drgnęła. — A ty, nie możesz przestać śnić na jawie? Takie przesadne fantazjowanie ściągnie na ciebie któregoś dnia kupę kłopotów.

Poczuła się, jakby otwarto jej czaszkę i bezlitośnie zaatakowano ukryte tam myśli. Odwróciła się, chcąc zająć się poszukiwaniem książki.

— Podobno ludzie są odzwierciedleniem środowiska, w którym pracują — ciągnął dalej, a ona zmuszała się, żeby słuchać tego z maksymalną obojętnością.

— Doprawdy? — zapytała chłodno.

— To pomieszczenie nie ma okien — kontynuował, nie zwracając na nią uwagi. — To jest ciemna piwnica, duszna i szara jak te wszystkie książki dookoła.

— Prawie jak grób — wybuchnęła.

— Ty to powiedziałaś.

— O, przepraszam... — dziewczyna spieszyła się.

— Tak, jesteś tu żywcem pogrzebana, dlatego tak wiele czasu poświęcasz na marzenia.

Im dłużej mówił, tym intensywniej wpatrywała się w półkę, chcąc znaleźć książkę. Możliwe, że została odstawiona na niewłaściwe miejsce i nikt nawet tego nie zauważył.

— Nie mogę jej znaleźć. Przepraszam, ale jest taka stara, pewnie została źle odłożona i już jej nie odszukamy. Obawiam się, że twoja długa podróż na nic się nie zdała.

— Już to kiedyś słyszałem, i to w miejscu, do którego miałem znacznie dłuższą drogę niż na ten uniwersytet. — Posłał jej olśniewający uśmiech. — Czy nie będę przeszkadzał, jeśli sam spróbuję ją znaleźć?

— Ależ nie. — Uczyniła zapraszający gest. Jeżeli chciał tracić czas, to była jego sprawa. — Mam teraz przerwę na lunch. Wychodzę na chwilę. Później zobaczę, jak ci idzie.

Odwróciła się i weszła po schodach, kierując się do gabinetu, który znajdował się między ciemnią fotograficzną a punktem kserograficznym. Usiadła przy biurku i zamyśliła się nad porównaniem biblioteki z grobowcem. Miał rację, do diabła! Pracowała w grobie. Po raz pierwszy odczuła, że ta praca wywołuje w niej klaustrofobię.

Ani ona, ani Smith nie mogli przewidzieć następstw poszukiwania starej książki. Gdy tak rozmyślała, ściany zaczęły się ruszać, powolutku, ledwo zauważalnie.

Zaszli za daleko, żeby teraz się zatrzymać. Tu, we wnętrzu góry Uru, w środku peruwiańskiej dżungli, mogli odnaleźć skarb.

Nagle usłyszała łoskot, spojrzała do góry i wrzasnęła.

- Strop!

Smith też go zauważył.

Jane ocknęła się, widząc ponownie przed sobą panią Witherspoon.

RS



## *Rozdział drugi*

— Dobrze się pani czuje, panno White?

Jane powoli oderwała oczy od sufitu i spojrzała na surową postać Enid Witherspoon.

— Czuję się, jakby ściany zaczęły się ruszać i przesuwać w moim kierunku.

— To pewnie przez te nieznośne lipcowe upały, które nas dopadły. Trzeba będzie częściej konserwować wentylatory.

— Może, zamiast tego, wstawić okna. — Jane chciała zakończyć tę rozmowę jak najszybciej.

— Ten mężczyzna w dziale D ma kłopot ze znalezieniem książki — ciągnęła pani Witherspoon. — Nie podoba mi się, że tak się kręci i robi tam bałagan. Potrzebował specjalnego zezwolenia, żeby wejść do naszej biblioteki. Nie znając naszego systemu katalogowania, może szukać długo i nic nie znaleźć.

Jane wstała i głęboko westchnęła. Nie dlatego, że nie chciała znowu ujrzeć Jeda. Wiedziała, że chce, bardzo chce. Nie była jednak jeszcze gotowa, aby ponownie stanąć z nim twarzą w twarz. Dokonał błyskawicznego spustoszenia w jej uczuciach i nie była pewna, jak teraz zniesie jego obecność. Wszystko było jednak lepsze od surowego spojrzenia pani Witherspoon.

Nie zauważyła nigdzie Jeda i zdała sobie sprawę, jak bardzo byłaby zawiedziona, gdyby okazało się, że już wyszedł. Po dłuższych poszukiwaniach znalazła go w zupełnie innym dziale. Siedział na ziemi po turecku i przeglądał książki z dolnej półki, na której leżały pozycje

dotyczące Ameryki Południowej. Podeszła na palcach z drugiej strony regału, chcąc go przez chwilę poobserwować. Był tak zajęty, że jej nie dostrzegł.

— Aaaa!

Serce jej podskoczyło, gdyż sądziła, że ją zobaczył. Nie odrywał jednak oczu od tego, co przeglądał, i z przejęciem mówił sam do siebie.

— Po tylu latach nareszcie ją znalazłem! Dokładnie tam, gdzie ukrył ją ten stary profesor.

Była to niewątpliwie najstarsza książka, jaką Jane kiedykolwiek widziała w tym dziale biblioteki. Oprawiona w nadszarpniętą zębem czasu brązową skórę, przewiązana była wyblakłą, jedwabną wstążką. Jed nie mógł rozwiązać supła, więc przeciął go nożem.

— Między stronami sześćdziesiąt pięć i sześćdziesiąt sześć — mruczał pod nosem.

Dziewczyna aż otworzyła usta ze zdziwienia, patrząc, jak Jed zaczyna wycinać ostrożnie coś, co znalazł między kartkami książki. Na domiar złego obrócił się plecami, nie mogła więc dojrzeć, co takiego odkrył.

— Nareszcie mam — powiedział, tym razem głośno. — Wieki upłynęły, ale nareszcie mam.

Jane nie mogła już dłużej czekać.

— To jest własność biblioteki. — Z przerażeniem stwierdziła, że jej głos nabrał tak ostrego tonu, jakby te słowa wypowiadała sama pani Witherspoon. — Proszę mi to dać. — Szybko przeszła na drugą stronę regału, wyciągając rękę.

Jed wcale nie sprawiał wrażenia człowieka przyłapanego na gorącym uczynku. Spojrzał na nią łagodnie.

— No — powiedziała — daj mi to.

— A jeżeli nie... ? — Uniósł jedną ze swych kruczoczarnych brwi.

— Jak to? Co masz na myśli? — Zdenerwowała się.

— Zwykle kryje się jakaś groźba w tak ostro postawionym żądaniu, prawda?

— Nie w tym rzecz.

— Ach tak?

— Rzecz w tym, że niszczysz własność biblioteki.

— Zdaję sobie z tego sprawę — stwierdził ze spokojem.

— Po co ci to? — Patrzyła bezsilna, jak Jed wsuwa wyciętą stronicę do kieszeni.

— Nooo...

Wiedziała, że go nie powstrzyma. Więcej, wiedziała, że i on to wie. Nie chciała jednak stać się jego współniczką. Jed wstał, oparł się o regał, założył ręce i przyglądał się jej. Stał tak blisko, że aż ją to rozpraszało. Westchnęła ciężko. Książka ciągle była w rękach Jeda.

— Chcesz ją? — zapytał, jakby nic się nie stało. — Proszę — podał jej książkę, a ona przeczytała uważnie tytuł.

— „Lord Pennington: notatki z podróży przez krainę Yapa” A co się stało z „Drogami i akweduktami Yapy”? — Odważyła się spojrzeć na niego i uśmiechnęła się.

— Nie mogłaś przecież tego znaleźć, nie pamiętasz?

Zmarszczyła brwi, spoglądając na sygnaturę książki. Była taka, jak na „Drogach Yapy”. Otwierając książkę, zauważyła datę wydania, 1887,

ale prawdziwym zaskoczeniem był dopiero dopisek pod tytułem —  
„Według Jedediaha Smitha"! Spojrzała na Jeda, ogromnie zdziwiona.

— Mój prapradziadek. — Wziął od niej książkę i zaczął ją  
kartkować.

— Ach, więc twój przodek był wielkim odkrywcą?

— Chyba żartujesz, nigdy nie wyjeżdżał z Oksfordu. Tylko to spisał.

— Uniósł książkę do góry i roześmiał się. — Lord Pennington podyktował  
mu wszystko na łożu śmierci.

Jane prawie umierała z ciekawości. Ten mężczyzna był  
ucieleśnieniem jej marzeń, a w dłoniach trzymał tajemnicę i obietnicę  
ekscytującej przygody. Bez namysłu sięgnęła do kieszeni Jeda i  
wyciągnęła z niej pożątkłą kartkę, po czym obróciła się plecami do niego,  
aby spokojnie ją obejrzeć.

— To jest własność prywatna — zaprotestował Jed, okazując  
zdenerwowanie.

— Racja — zgodziła się. — Należy do biblioteki. — Przyglądała się  
papierowi, powstrzymując Jeda na odległość wyciągniętej ręki.

— Mapa! — wykrzyknęła.

— O, nie! Widzę, że zaczyna pracować twoja wybujała wyobraźnia.

— To nie wyobraźnia — odpowiedziała, spoglądając ponownie na  
kartkę. — To jest mapa okolicy położonej około czterysta pięćdziesiąt  
kilometrów na wschód od Limy — powiedziała. — Spójrz tutaj. —  
Przesunęła palcem od punktu oznaczającego górę, wzdłuż grubej czarnej  
linii, która niewątpliwie wskazywała szlak przez górski masyw i dżunglę.  
— Jak byś to nazwał?

— To jest trasa wyznaczona przez Stowarzyszenie Amerykańskich Automobilistów. Robią to na życzenie, gdy wybierasz się w podróż.

— O, doprawdy? W tamtych czasach nie było samochodów. —  
Uważnie studiowała dalej mapę. — Hmm...

— Nie lubię takiego „hmm” — powiedział nerwowo, ale ona nie zwróciła na to uwagi.

— Założę się, że najlepiej byłoby wypożyczyć helikopter, żeby dostać się tam w miarę szybko.

— Mogłem się spodziewać, że wywołam burzę — jęknął Jed.

— Co to znaczy "oro"? — spytała, nie przejmując się jego uwagami.

— Co?

— „Oro” — powtórzyła. — O tu, na szczycie góry, tu, gdzie czarna linia kończy się dużą, czarną kropką, napisane jest „oro”.

— Rzeczywiście — powiedział, zaglądając jej przez ramię.

— No więc? Co to znaczy? — powtórzyła niecierpliwie. Była pewna, że coś ukrywał.

— Szsz! — Ku jej zaskoczeniu Jed pociągnął ją za rękaw, sugerując, żeby odeszli dalej od grupy studentów, którzy dyskutowali w pobliżu. — To po hiszpańsku — powiedział, gdy upewnił się, że nikt ich nie może usłyszeć.

— Tak myślałam.

— „Oro” oznacza złoto. — Westchnął.

— Złoto!

Zakrył jej usta dłonią. Mógł stłumić jej głos, ale w żaden sposób nie mógł powstrzymać jej podniecenia. Powtórzyła to słowo jeszcze kilka

razy. W końcu uwolnił jej usta, a ona, spoglądając triumfująco, powiedziała:

— Złoto. Ta mapa wskazuje, gdzie ukryto skarb, prawda? — Jej oczy zabłyszczały.

— To tylko dowcip. — Był już znużony jej nagabywaniem.

— No, taka naiwna to ja nie jestem. — Ani myślała w to uwierzyć.

— To rzecz dyskusyjna. — Zanim zdążyła zareagować, zabrał jej mapę i wcisnął do kieszeni. — Mój prapradziadek był największym dowcipnikiem w całej Anglii. Oszukiwał naukowców. Potrafił spowodować, że wierzyli w odnalezienie brakujących ogniw ewolucji czy też ukrytych skarbów.

— Tak jak profesor Schmidt uwierzył w to, że znalazł starożytny medalion?

— Dokładnie tak. — Jed uspokoił się już trochę. — Jedynym powodem, dla którego tu przyjechałem, jest chęć obrony paru nieszczęśników przed skutkami tych oszustw.

— Sądzisz, że uwierzę w coś takiego — roześmiała się.

— Tak. — Twarz mężczyzny wyrażała absolutną powagę.

Roześmiała się jeszcze głośniej, co bardzo mu się nie podobało.

— Czy wiesz, że pół roku temu kilku amatorów przygód omal nie zamarzło na śmierć w północnej Grenlandii?! Pojechali tam, by znaleźć skarb, zakopany, jak sądzili, przez Leifa Erikssona.

— Nigdy o tym nie słyszałam — rzekła z niedowierzaniem.

— Oczywiście. Utrzymywano to w tajemnicy, ponieważ rozpowszechnienie takiej wiadomości mogło spowodować wybuch groźnej w skutkach gorączki złota.

Tego było już za wiele. Zawsze miał na wszystko gotową odpowiedź i coraz bardziej przypominał Alabamę Smitha. To samo bezczelne zachowanie, sposób myślenia, ten sam urok...

Założyła ręce, oparła się o regał i straciła kilka książek na podłogę. Zderzyli się, gdy równocześnie schylili się, aby je podnieść. Jed wyciągnął ramiona i objął dziewczynę, aby uchronić ją przed upadkiem. Zastygła jak posąg, rozkoszując się siłą jego rąk.

— Upadłabym — powiedziała, pragnąc ukryć swoje zauroczenie.

— W każdym razie chciałbym wiedzieć, co pełna energii kobieta robi w tak martwym miejscu jak biblioteka. — Mówiąc to, uśmiechnął się.

Jane spróbowała uwolnić się z jego objęć, aczkolwiek nie zrobiła tego zbyt stanowczo.

— Uwodzi mnie pani. — Ton jego głosu był wielce obiecujący.

Musiała się uwolnić, nie miała wyboru. Ten mężczyzna był niebezpieczny i absolutnie nie mógł dowiedzieć się, jak zmysłowo zareagowała na jego dotyk. Miał w sobie coś hipnotyzującego, wywołującego w niej pragnienie pozostawania w tym uścisku przez dłuższy czas.

Szarpnęła się jednak energicznie do tyłu, ponownie wpadając na regał. Kolejne trzy książki uderzyły o podłogę. Poczowała się upokorzona. Przysięgłaby, że Jed śmiał się z niej teraz.

— Ostrożnie — ostrzegł. — Możesz spowodować lawinę.

Chciałbym wiedzieć — dodał po chwili — o czym teraz myślisz, sądzę, że ma to jakiś związek z chęcią rewanżu, wypisaną na twojej twarzy.

— Och, czyżbym była przezroczysta? — Po raz kolejny zapragnęła zapaść się pod ziemię. Przecież tym pytaniem potwierdziła jego przypuszczenia!

— Ależ oczywiście. — Uśmiechnął się. — Ale nie martw się. Gdybym tu pracował, też musiałbym używać wyobraźni, żeby jakoś oderwać się od tego miejsca.

— Skończ lepiej — starała się być stanowcza, chcąc jakoś zachować twarz — tę historię, którą opowiadałeś przed chwilą.

— O moim prapradziadku?

— Właśnie, o tym dziewiętnastowiecznym dowcipnisiu.

Spojrzał na nią kpiąco, jakby zastanawiając się, czy coś jej na to odpowiedzieć, czy pominąć to milczeniem.

— Chciałabyś dowiedzieć się, co jest napisane na jego grobowcu? — zapytał.

— Niech zgadnę — powiedziała z błyskiem w oczach. — „Ciagle żyję, wykop mnie, proszę, zanim skończy mi się tlen?”

— Znakomicie! Bardzo blisko, ale niestety, to jeszcze nie to.

Podszedł bliżej, a ona zdała sobie sprawę, że tym razem nie ma już gdzie się cofnąć. Stał tuż przy niej, spojrzał prosto w oczy. Czas zatrzymał się dla niej.

— Na płycie nagrobnej widnieje wizerunek królewskiego błazna, a pod tą płaskorzeźbą wyryte są następujące słowa: „Będę śmiał się ostatni”.

— I co? — Starła się ukryć fascynację Jedem.

— Nie chwytasz tego? To jego spuścizna dla tego świata. — Zaczął już się niecierpliwić.

— Ale co?



— Seria dowcipów. — Wziął głęboki oddech. — Niebezpiecznych oszustw.

— Jak ta sprawa ze skarbem Leifa Erikssona?

— No właśnie.

Jane przyjrzała mu się uważnie, chcąc dociec, gdzie kryła się prawda. Było to trudne zadanie, gdyż nigdy dotąd nie spotkała nikogo takiego jak Jed Smith. Nigdy też nie słyszała takich opowieści. Historia o skarbie Leifa Erikssona była zupełnie niewiarygodna, ale nie zaprzeczało to wersji, że wszystko to zostało wymyślone. Nagle coś jej zaświtało.

— W porządku — powiedziała, starając się, aby la wypowiedź zabrzmiała rozsądnie. — Przypuśćmy, że mówisz prawdę. Dlaczego nie ogłosisz tego publicznie? Uratowałbyś ludzi wyruszających na Grenlandię i zamierzających tam prawie na śmierć. Czemu tego nie zrobisz?

Przesunął ręką po twarzy w geście absolutnego znużenia.

— Zrobiłem to. — Westchnął. — Poinformowałem całą wspólnotę akademicką.

— I co?

— Śmiali się. Tak jak ty.

Łagodność zniknęła z jego twarzy, a źrenice zwęziły się. Jane zamyśliła się. Jeżeli był tak przebiegły jak Alabama Smith, zrobiłby wszystko, żeby tylko ją zwieść. W końcu oświadczyła:

— Kłamiesz.

Zniechęcony pokręcił głową i odwrócił się od niej.

— Ostatnie pół roku spędziłem na poszukiwaniu wszystkiego, co mogło być sygnowane przez mojego prapradziadka. Nie uwierzyłabyś,

jakie są to dziwne rzeczy i w jakich niesamowitych miejscach je zostawił. To gorsze niż mistyfikacja Wielkiego Kamiennego Człowieka.

— Co takiego?

— Wielki Kamienny Człowiek — powtórzył. — Jak sądzę, raczej nie będzie cię interesował.

— Opowiedz, proszę — powiedziała.

— W dziewiętnastym wieku pewni ludzie zakopali w tajemnicy, przy okazji kładzenia fundamentów, kamienny, trzymetrowy posąg. Kiedy niczego nieświadomi robotnicy wykopali go później, uznano tę skamielinę za odkrycie archeologiczne. Pokazywano tę rzeźbę w cyrkach, zbijając na tym majątek.

Jane zdecydowała, że to wystarczy. Postanowiła w inny sposób odkryć intencje Jeda.

— Już dobrze, wierzę ci — powiedziała. — A wiesz, że było niezwykle interesujące obserwować cię, jak wycinasz mapę z książki?

— W tym rzecz, że każdy z tak żywą wyobraźnią mógłby łatwo dać się nabrać na ten kawał.

— O, przepraszam. — Jane zeszywniała.

— Spójrz prawdzie w oczy. Jesteś beznadziejnie romantyczna.

Chwytasz się wszystkiego, co wnosi odrobinę fantazji w twoją nudną pracę. Jedediah Smith był takim samym człowiekiem. Słuchał z zapalem ludzi czynu i marzył, aby samemu być jednym z nich, lecz był na to zbyt strachliwy. Poza tym, był tylko pisarzem. Spisywał wspomnienia prawdziwych podróżników i poszukiwaczy; tych, którzy podejmowali ryzyko.

Jane nie wiedziała, czy ma się obrazić, czy też, mimo wszystko, potraktować to zdanie jako komplement.

— Skąd możesz wiedzieć, że nie jestem aktywna?

— Trzymaj się lepiej swoich książek. — Roześmiał się — Pani Bibliotekarko! To znacznie bezpieczniejsze niż pogoń za złotem przez dżunglę Ameryki Południowej.

To ostatnie stwierdzenie wyzwoliło w niej całą energię.

— Mapę, proszę — zażądała stanowczo, wyciągając rękę.

Zawahał się, lecz nie odmówił. Ponownie przyjrzała się kawałkowi papieru.

— Moim zdaniem jest autentyczna. — Przesunęła palcem wzdłuż krawędzi kartki. — Jest stara. — Przyjrzała się kilku znakom, wyglądającym jak prymitywne pismo. Przedstawiały sylwetki ludzi, naczyń i węży. — To jest coś na kształt egipskich hieroglifów — powiedziała do siebie. — Ale słowo „oro” można łatwo wyróżnić wśród tych znaków. — Co oznaczają te symbole? — zapytała.

— Możemy się założyć, że to jeden z żartów Jedediaha. Już bardziej autentycznie wyglądają te inkaskie znaki fonetyczne.

— Doprawdy? Skąd wiesz, że są inkaskie?

— Pochodzą od ludu Yapa. — Zza pleców dobiegł ją znajomy głos.

Jane obejrzała się, zaskoczona obecnością profesora Schmidta, który stał za nią i przyglądał się mapie z wielkim zainteresowaniem. Dostrzegł już słowo „oro”, które przyciągnęło jego uwagę. Jego oczy błyszczały, gdy wczytywał się w starożytne znaki. Jed przestępował z nogi na nogę, był wyraźnie niezadowolony z pojawienia się trzeciej osoby.

— A, tak, tak. — Schmidt kiwał głową. — Hmm... bardzo interesujące. Wygląda na autentyk. Skąd pan to ma?

— To należało do mojego prapradziadka. — Jed przyglądał się uważnie profesorowi.

— Mogę to wam łatwo rozszyfrować. — Profesor wskazał na jeden ze znaków. — Widzicie postać węża owiniętego wokół urny? Ma kilka znaczeń.

— Jakie? — Jane znów nie mogła wytrzymać z ciekawości.

Rzuciła Jedowi triumfujące spojrzenie, jakby chciała go rozdrażnić. On zachowywał się zupełnie normalnie, starannie unikając ujawnienia swoich odczuć.

— Na przykład metal — mówił profesor. — Urna symbolizuje miejsce przechowywania rzeczy. Ten tu symbol dosłownie znaczy „ukryty” a ten...

— Sądzę, że to w zupełności wystarczy — przerwał mu Jed.

— A to dlaczego? To jest niezwykle interesujące — wtrąciła wojowniczo Jane.

— Faktycznie, to nie ma znaczenia — zbył ją profesor. — Chciałbym mieć więcej czasu na przestudiowanie tego dokumentu. Wiecie, że stare mapy są moją specjalnością.

— Nie wątpię. — Jed ponuro kiwnął głową. — Nie mogę jednak nikomu jej udostępnić.

— Fatalnie. W przyszłym tygodniu jadę do Peru, na uniwersytet w Limie, aby dać kilka wykładów. Proszę do mnie zadzwonić, gdyby zmienił pan zdanie. To, co pan ma, może okazać się bardzo wartościowe. Dobrze znam pisma Lorda Penningtona. Przypadkowo słyszałem waszą rozmowę i

wbrew temu, co podejrzewacie, uważam, że mapa może okazać się autentyczna.

Słowa profesora zmroziły Jane do szpiku kości. Tysiące fantastycznych wizji pojawiło się nagle w jej głowie. Otrząsnęła się, już ich nie potrzebowała. Rzeczywistość przerosła wszystko, śmiała się na myśl o znalezieniu skarbu i z widoku atrakcyjnego Jeda Smitha, dławiącego się swoimi głodnymi historyjkami.

— Wyrzuć natychmiast te wszystkie myśli ze swojej głupiej głowy — syknął Jed, gdy tylko profesor odszedł.

— Nie wiem, o czym mówisz.

— Doprawdy? — Spojrzał za znikającym na schodach profesorem.

— Mam nadzieję, że przynajmniej on nie myśli o tym, o czym ty myślisz.

— Na pewno to robi — chłodno odpowiedziała Jane. — Jest bardzo wykształconym człowiekiem.

— No właśnie. — Jed uniósł ręce w błagalnym geście. — Czy ty naprawdę nic nie rozumiesz? Nawet profesor dał się ogłupić. Tylko tyle chciałem powiedzieć. Jeżeli on dał się wyprowadzić w pole człowiekowi, który nie żyje od prawie stu lat, to każdy inny też popełniłby ten błąd.

Jane obróciła się na pięcie i poszła w kierunku schodów z mapą i książką w ręku.

— A ty gdzie idziesz?

— Na lunch.

— O, świetny pomysł. Nie jadłem śniadania i umieram z głodu.

Znasz tu jakieś dobre miejsce, w którym moglibyśmy coś zjeść?

— My? — Zatrzymała się.

— Cała przyjemność po mojej stronie. — Obdarzył ją zniewalającym uśmiechem. Ścisnęła mocno mapę w rękę i zawahała się.

— Dobrze, tylko... sprzątnę biurko — powiedziała.

Kiwnął głową i oparł się o ścianę, pogwizdując jakąś melodyjkę. Jane wbiegła po schodach. „Najpierw ksero” — pomyślała i weszła do niewielkiego pokoju, aby odbić kopię mapy, tak na wszelki wypadek. Odbitka wyszła idealnie. Wcisnęła ją do portmonetki, a następnie poszła do swojego pokoju, otworzyła górną szufladę biurka i wsunęła do niej książkę i mapę. W tym momencie do pokoju wszedł Jed. Ich oczy spotkały się.

— Na wszelki wypadek — powiedziała, starannie zamykając szufladę.

Stali chwilę, przyglądając się sobie.

— Idzie pani na lunch? — Nagle do pokoju weszła Enid Witherspoon. Spojrzała na zegarek, a potem przelotnie, lecz z wyraźną niechęcią, na Jeda.

Oczy Jane zwęziły się, gdy zastanawiała się, czy szefowa mogła widzieć ją, jak chowała własność biblioteki do swojej szuflady.

Przemyślała coś szybko i odpowiedziała pytaniem na pytanie.

— Za kilka tygodni mam mieć urlop, czy byłoby możliwe, żebym dostała go wcześniej?

— Musiałabym sprawdzić grafik, ale oczywiście, nie widzę przeszkód.

Jane była zaskoczona. Rzadko się zdarzało, by Enid Witherspoon tak łatwo spełniała cudze prośby.

— A gdzie wybiera się pani na wakacje? — Pani Witherspoon spojrzała na mężczyznę, który obdarzył ją ujmującym uśmiechem, ale nie

wywarło to na niej żadnego wrażenia. Zwróciła się ponownie do Jane, która ostrożnie odpowiedziała.

— Jeszcze nie wiem.

— Słyszałem, że w tym roku cudownie jest w Peru. — Jed podszedł do Jane.

— Rzeczywiście. — Odpowiedź pani Witherspoon zaskoczyła ją. — To jest fascynujący kraj.

Jane zmarszczyła brwi. To naprawdę było nienormalne.

— No, to życzę smacznego. — Miłym tonem szefowa zakończyła tę najdłuższą rozmowę na tematy pozazawodowe, jaką kiedykolwiek przeprowadziła ze swoją pracownicą.

Jane wpatrywała się w nią zdumiona, a Jed wybuchnął śmiechem.

## *Rozdział trzeci*

— No i jak ci się pracuje dla takiej piły, jak ta Witherspoon?

Siedzieli w pobliskiej restauracji, zabierając się do potężnych zapiekaneek. Jane popijała małymi łykami piwo imbirowe, wpatrując się w jasny promień wpadającego przez okno słońca. Ten blask był ulgą po całym dniu spędzonym w ciemnej kostnicy, jak nazywał Jed jej miejsce pracy. Przestała już się obrażać, gdy jej dokuczał.

— Jest piłą, prawda? — Roześmiała się. — Choć staram się w to wątpić. Właściwie nie powinnam się przejmować.

— Dlaczego w ogóle z nią pracujesz, jesteś jej asystentką?

— To długa historia — westchnęła. — Chciałam po prostu prowadzić badania, ale ta praca okazała się monotonna. Czy rzeczywiście widać, że to mi nie odpowiada?

— Tak — odpowiedział bez wahania.

Pod oknami restauracji przeszła pochłonięta rozmową grupa studentów. Jane nagle zapragnęła zostać sławna, zauważana, rozpoznawana.

— To jest Jane White. — Usłyszała. — Ta wielka podróżniczka.

— A ten mężczyzna obok niej, czy to nie jest Jed Smith?

Dźwięk spustu migawki i przewijanego filmu wyrwał ją z tego krótkiego zapomnienia. Ujrzała studentów pozujących do zdjęcia.

— Znowu pograżyłaś się w marzeniach, prawda? — zapytał, nie patrząc na nią i sącząc ostatnie krople piwa.

Był niesamowity! Skąd mógł wiedzieć?

— Nieprawda — odpowiedziała zaczepnie.



— Wiesz, jesteś fascynująca. — Uśmiechnął się serdecznie.

— Może kiedyś byłam, nim zostałam pomocnicą grabarza.

— Nie, nie to, Jane. Po prostu musisz się zrelaksować.

— Jestem wypoczęta — powiedziała z przesadą.

— Przed chwilą mieliśmy tego dowód. — Uśmiechnął się złośliwie.

— Och, przestań, Jed. Wiesz, co mam na myśli.

— Zgodzę się ze wszystkim, poza tym, że zachowujesz się swobodnie i naturalnie.

— Jestem tylko ostrożna, to wszystko. — Spojrzała na niego z odrobiną dumy.

— A czego się boisz? Wygadanych facetów, którzy pojawiają się nagle, znikąd, i opowiadają niestworzone historie?

— No właśnie. — Ugryzła spory kawałek zapiekanki. — Musisz przyznać, że nie jesteś zwykłym człowiekiem. Nie wiem, co z tego, o czym mówisz, jest prawdą, a co nie. W ciągu ostatniej godziny opowiedziałeś mi historię swojego życia, dlaczego?

— A to mnie zmartwiłaś — mówił rozbawiony. — No proszę, to moje życie można zmieścić w czasie potrzebnym na zjedzenie zapiekanki?! Chyba jednak powinienem zamówić cały obiad ze stekami i kontynuować tę opowieść.

— Ale jesteś skromny!

— Po prostu żyję, a czego się spodziewałaś?

— I tak dużo mi już powiedziałaś. Ekspert górskiej wspinaczki, najlepszy absolwent Harvardu, szef Wydziału Antropologii Uniwersytetu w Michigan, nagrodzony przez liczne wyższe uczelnie, był wszędzie na tej

planecie. Pilot w marynarce wojennej, no i, wcześniej, asystent podsekretarza stanu.

— Doradca — skorygował. — Jestem konsultantem, nie tylko podsekretarza stanu, ale też kilku członków gabinetu.

— Może nawet prezydenta?

— Nie — zaprzeczył. — Zapomniałaś o paru rzeczach.

— Jeszcze nie skończyłam. Jesteś przecież autorytetem wśród antropologów, jako specjalista od instrumentów muzycznych ludów prymitywnych.

— Szczególnie wykonywanych z trzciny — dodał. — Mogę śmiało twierdzić, że nie znasz muzyki, jeżeli nie słyszałaś fugi Bacha w wykonaniu grupy Buszmenów z afrykańskiej pustyni. To jest przeżycie jedyne w swoim rodzaju.

Trudno było w to uwierzyć, choć mogła przypuszczać, że tym razem mówił prawdę.

— Oczywiście uprawiasz też surfing, jazdę na nartach, latasz na lotni i jesteś mistrzem łucznictwa. — Skończyła, cały czas usiłując ukryć, że robi to na niej wielkie wrażenie. — A może coś jeszcze?

— To w zasadzie wszystko — powiedział najskromniej, jak potrafił.

— Na pewno? A czy przypadkiem nie byłeś astronautą?

Spojrzeli na siebie i wybuchnęli śmiechem.

— Naprawdę, trudno mi w to wszystko uwierzyć.

— Mówiłaś to już w bibliotece.

— Muszę wracać. — Wstała i wyciągnęła rękę. — Cóż! Miło się z tobą rozmawiało...

— Zaczekaj. — Stał przy niej. — Nie spiesz się tak.

— Muszę wracać do pracy — zaprotestowała, zastanawiając się, co nowego wymyślił.

Zatrzymało ją spojrzenie, mówiące, że nie może odejść tak zwyczajnie.

Pocałunek zaskoczył ją, a był bardziej podniecający, niż mogła przypuszczać. Zanim zorientowała się, co się dzieje, objął ją, a ich usta złączyły się, jakby byli zupełnie sami. Wprawdzie nie było w jej stylu urządzenie przedstawień w restauracji, ale instynkt okazał się silniejszy.

Pocałunek był długi, słodki i niezmiernie czuły. Jane przysięgłaby, że słyszała bijące gdzieś w oddali dzwony. Patrzył jej w oczy, nie pozwalając odejść. Stała jak sparaliżowana.

— Nie spiesz się tak — szepnął, pieszcząc dłonią jej kark. — Nie mieliśmy jeszcze okazji porozmawiać o tobie.

- Naprawdę muszę wracać — powiedziała. — Ale dlaczego nie miałbyś pójść ze mną? Postaram się nie zanudzić cię na śmierć historią mojego monotonnego życia.

— Na pewno nie jest monotonne. — Przesunął ręką po jej plecach. — Jest tylko pełne nie zrealizowanych marzeń.

— Chyba masz rację — powiedziała powoli. Łatwo było mówić szczerze, gdy nie patrzył na nią prowokująco.

Zapłacił rachunek i poszli wolno, nie jak zwykli znajomi czy przyjaciele. Jane nie wątpiła, że ten jeden pocałunek zapowiadał wielką miłość.

Jed słuchał uważnie, co Jane opowiadała mu o sobie i czasem powtarzał jakieś szczegóły, jakby przeżywali to wszystko razem.

— Urodzona w Chicago, przeniosła się na północny zachód. Zagrała główną rolę w żeńskiej realizacji „Czekając na Godota”.

— Nie, nie, w tej sztuce nie ma roli pierwszoplanowej — zaprotestowała.

— Nie przerywaj mi — poprosił. — Jesteś mistrzynią w szachach, no i niezmordowaną brydżystką... Uwielbiasz gry, prawda?

— Tak samo jak i ty. No, mów dalej, zobaczymy, czy masz dobrą pamięć.

— Teraz najważniejsze — główna nagroda w konkursie „Szalony lizak” Najwyżej dwadzieścia pięć słów na temat: Dlaczego „szalone lizaki” cię uszczęśliwiają.

— Pierwsza nagroda to było całe pięćset dolarów — oświadczyła z dumą. — Powinnam otrzymać czek lada moment.

Zatrzymał się na środku chodnika i przyjrzał się jej.

— Chcesz przez to powiedzieć, że to jest... świeża sprawa?

— Ach, w informacji na papierku nie podano żadnego ograniczenia wieku!

Doszli do biblioteki i wbiegli po schodach. Wnętrze, chłodne i ciemne, nie sprawiało już na Jane wrażenia takiego przytulnego jak kiedyś. Zaczęło ją nawet irytować. Weszła do biura, a to, co tam ujrzała, przyprawiło ją niemal o dzikie wycie.

— O mój Boże!

Jed wbiegł tuż za nią i zatrzymał się jak wryty.

— O, nie! Nie do wiary!

Drzwi jej pokoju były otwarte, podobnie szuflada biurka. Książki i mapy nie było.

— Schmidt! — krzyknął Jed. — Założę się, że to ten stary, szalony marzyciel! Teraz pewnie gdzieś ucieka.

Mężczyzna błyskawicznie pokonał schody. Jane przypomniała sobie, że wśród zalet Jeda nie wymieniła jednej. Był światowej klasy biegaczem. Dobiegła do drzwi. On był już u wylotu ulicy. Usłyszała pisk opon i zobaczyła tył znikającego błękitnego chevroleta.

Zatrzymała się zupełnie bez tchu. Zobaczyła, jak samochód gwałtownie wymija inne, kierując się na przedmieścia.

— To był profesor Schmidt? — dyszała.

Spojrzał na nią uważnie, po czym usiadł na stopniu pobliskiego domu i na moment ukrył twarz w dłoniach.

— Tak, to był Schmidt. Jestem tego pewien.

— Pewnie zarezerwował sobie bilet na najbliższy samolot do Limy.

— Usiadła obok niego.

— Wątpię.

— Zbyt oczywiste, tak?

— Będzie myślał, że spróbujemy złapać go, zanim wsiądzie do samolotu. Swoją drogą, to ciekawe, jak często są loty do Limy. Na pewno będzie próbował zatrzeć za sobą ślady — dodał.

— W każdym razie, mamy szansę. — Jane uśmiechnęła się. — Nie wszystko stracone.

— Dlaczego tak sądzisz? Przecież on ma mapę. Mogłem przynajmniej przestudiować ją szczegółowo. — Uderzył się ręką w czoło. — Co za głupiec ze mnie! Powinienem siedzieć cicho i nic ci nie mówić. Moja niewyparzona gęba jest przyczyną wielu kłopotów. Och, gdybym potrafił być ostrożniejszy. W zeszłym roku próbowałem ostrzec tych

głupców, którzy połamomili się na rzekomy skarb Leifa Erikssona. Nikt mi, oczywiście, nie uwierzył. To powinna być dla mnie wystarczająca nauzka, ale niestety.

Jane słuchała, jak narzekał, zastanawiając się, w co tu wierzyć. Wydawało jej się, że był szczery wobec niej. Skąd takie zainteresowanie profesora Schmidta, który, jak Jed, był fachowcem w tej dziedzinie? Wyciągnęła mapę z kieszeni i pomachała mu nią przed nosem, przerywając jego monolog.

— Następnym razem, na pewno nie będę... — Aż otworzył usta ze zdziwienia, gdy ujrzał kopię mapy. Chciał ją chwycić, ale dziewczyna była szybsza.

— Nie tak szybko — powiedziała z wdziękiem, wstając i odchodząc w stronę biblioteki.

— Nie doceniłem Pani Bibliotekarki. Wiesz, jesteś naprawdę niezła. — Szedł za nią.

— Tak. — Spodobało jej się to, co powiedział. — Tak, oczywiście, potrzebowałeś tylko trochę czasu, żeby to zauważyć.

Teraz była pewna, że mapa jest prawdziwa, a ona ma jedyną kopię. Jed nie mógł się bez niej obyć. W tej sytuacji postanowiła rozkoszować się każdą sekundą jego niepewności. Byli już w biurze, Jane podeszła do kserokopiarki.

— Chcesz swoją kopię?

— No pewnie. — Oczy mu rozbłyły.

Wyjęła drugi egzemplarz, zanim zdążył podejść do maszyny.

— Nie tak szybko. — Machała mu kopią tuż przed nosem. — Nic za darmo. Musisz za nią zapłacić.

— Co takiego? To się nazywa wymuszenie! — Sięgnął po portfel, ale powstrzymała go.

— Nie chcę pieniędzy! Mam dosyć swoich.

— No to czego chcesz? — spytał surowo, przypuszczając, że Jane zażąda czegoś niemożliwego.

— Zapomniałeś, że wygrałam konkurs „Szalonego lizaka”?

— No dobrze, już dobrze. Tylko mów, czego chcesz.

— Wejść w to.

— W co? — Był wyraźnie zaskoczony.

— W tę przygodę, wycieczkę, pościg... Przecież będziesz szukał profesora, prawda?

— Oczywiście — niechętnie skinął głową — ale zamierzałem zrobić to sam.

— No tak, teraz wszystko jasne! Dlatego, że jestem kobietą?!

— Do diabła, nie! Po prostu nie jesteś przygotowana na takie poszukiwania.

— A jak oceniasz kondycję profesora Schmidta? Jed nie znalazł odpowiedzi na to pytanie.

— No, to widzę, że załatwione — powiedziała, podając mu kopię.

— To dla ciebie naprawdę bardzo wątpliwa okazja. — Westchnął. Zdjął kapelusz, złożył starannie mapę i schował ją za taśmę, którą obszyte było wnętrze kapelusza.

— Teraz ty masz jedną kopię, a ja drugą. Sprawiedliwy podział?

— Po prostu pół na pół — odpowiedziała. — Co ty na to, żeby jechać teraz do Centrum Sportów Górskich i wybrać sprzęt na wyprawę? Zgoda, współniku?

— Wspólniku? — Spojrzał na nią wyraźnie niezadowolony. — Czuję się jak w westernie. — Westchnął ciężko. — No dobrze, jedźmy, ale to ja będę decydował, co należy kupić. W ogóle, to ja jestem tutaj, szefem. Nie zapomnij o tym.

Gdy tylko dotarli do sklepu, szybko okazało się, że doświadczenie Jeda przegrało z pasją Jane. Prosiła o najróżniejsze rzeczy, a on stał obok i patrzył. Tak zajęła sprzedawcę, że kierownik działu musiał przysłać do pomocy jeszcze dwóch swoich pracowników.

— Twój plecak będzie ważył jakieś sto dwadzieścia kilogramów — odezwał się Jed, spoglądając w sufit.

Właśnie zapinała na biodrach pas i sprawdzała szelki wielkiego, zielonego plecaka.

— Sto dwadzieścia? — mruknęła.

Właściwie to nie słyszała nic z tego, co mówił od czasu, gdy weszli do sklepu.

— Ale nie martw się — uspokajał ją. Szarpnął mocno plecak w dół, tak że omal nie przewróciła się na podłogę. — Jedna trzecia tego wszystkiego, to będzie żywność. Już po tygodniu wędrówki będziesz chciała, aby było jej dwa razy tyle. W ciągu pięciu dni ubędzie ci około trzydziestu, czterdziestu kilogramów.

— O, mój Boże! — W końcu coś do niej dotarło. — Czterdzieści kilogramów!? Nie mam nawet kilograma nadwagi. Zostanie ze mnie szkielet po tej wyprawie!

— Mówiłem o wadze twojego plecaka. — Uśmiechnął się wyrozumiale.

Obejrzała się w lustrze i zwróciła się do sprzedawcy.



— Czy te plecaki są jeszcze w innych kolorach?

— Co to ma za znaczenie — oburzył się Jed. — Musisz się pokazać przed tubylcami z plemienia Yapa?

— Może są granatowe? — Jane nie zwracała uwagi na docinki. — Pasowałyby do butów.

— Następną rzeczą, której zażadasz, będzie namiot z idealnie dobranymi firankami w oknach. — Roześmiał się.

— A co, nie produkują takich? — odparła złośliwie.

Po dwóch godzinach przy kasie piętrzył się stos rzeczy. Namioty, śpiwory, środki przeciwko moskitom, siatki, wodoszczelne zegarki, kalosze, składane wędki, plecaki, manierki, kubki i inne naczynia polowe, suszone pożywienie, butle z gazem, lampy gazowe, zapalki, sól w tabletkach, dwie strzelby kalibru 38, sto magazynków oraz składany nóż myśliwski, którym Jane stukała właśnie w ladę.

— Uważaj z tym — ostrzegł ją, wkładając sznurowadła do nowych butów. — Omal nie odcięłaś mi ucha. — Wstał i zabrał jej nóż. — To się tak trzyma. — Pokazał. — Zrozumiano?

Jane była już zbyt zajęta oglądaniem karabinów, aby zwracać uwagę na to, co do niej mówił.

— A w ogóle, to wystarczyłby ci zwykły scyzoryk. — Jed zaczynał tracić cierpliwość.

— O nie, nie tam, dokąd jedziemy — odpowiedziała beztróska.

Wzięła do rąk karabin i wycelowała w niego.

— Pif-paf! Lew już nie żyje.

Jed zmarszczył brwi i odsunął lufę, ale ona nie zareagowała. Spróbowała otworzyć magazynek, aby załadować naboje. Widziała setki razy na filmach, jak to się robi, lecz sama nie umiała sobie poradzić.

— Daj mi to. — Wziął broń i cały czas patrząc na nią, załadował i zamknął magazynek.

— Jak widzę, zapomniałeś się pochwalić, że jesteś mistrzem w strzelaniu do celu.

— Wypadło mi to z głowy. — Odłożył karabin i sięgnął do portfela po zezwolenie na posiadanie broni.

— Będę też potrzebował rewolweru — powiedział do sprzedawcy. — Remington, ten, który oglądałem przed chwilą.

Sprzedawca wziął karabiny, żeby podliczyć ich cenę.

— Bierzemy tylko jeden. — Powstrzymał go Jed. — Nie dostaniesz tego — zwrócił się do Jane, gdy próbowała protestować. — To nie jest zabawka. Jeżeli nie mam do ciebie zaufania, kiedy trzymasz nóż, to tym bardziej, gdybyś szła za mną z karabinem.

— Za tobą? Skąd ta pewność, że będę szła z tyłu?

— No, jak tam? — Usłyszała dobiegający z góry głos Jeda.

Wchodzili do jej mieszkania na piątym piętrze. Jane zdawała sobie sprawę, że wlecze się wolniej niż zwykle. Zatrzymała się na trzecim piętrze, żeby odsapnąć. Nie mogła wydusić z siebie słowa. Było już po czwartej, a musieli jeszcze zdążyć kupić rzeczy do ubrania i bilety na samolot.

— Mieszkasz w cudownym domu. — Jed był już prawie na górze. — Ta klatka schodowa to prawdziwy zabytek. Poręcz trzęsie się w wyszukany sposób, gdy się o nią opieram, a te ruchome schody mają na-

prawdą niepowtarzalny urok. Ta wybebeszona instalacja to dzieło architekta wnętrz czy konstruktora?

Wobec tych złości Jane była zupełnie bezbronna. Miała wrażenie, że ciężar plecaka zwiększa się z każdym stopniem pokonywanych schodów. Gdy mijała podest, plecak przesunął się na bok. Próbowwała go poprawić, sięgając do ramiączka dwoma wolnymi palcami, ale torba z żywnością i namiot, które trzymała w rękach, były zbyt ciężkie. Postanowiła więc spróbować zębami.

— Po latach wchodzenia po tych schodach musisz być w niezłej kondycji — Jed krzyknął w dół.

— Tragarze — wymamrotała.

— Co?

— Mówię, że będziemy potrzebowali tragarzy.

— Wybij to sobie z głowy! Nie jedziemy do Hollywood.

Potknęła się, gdy wchodziła na następny podest.

— Te upały są zabójcze. I do tego wilgoć. Czuję się jak w lesie tropikalnym. — Roześmiała się.

— Mam nadzieję, że po tygodniu w dżungli nie opuści cię poczucie humoru — zauważył zgryźliwie.

Po chwili usłyszała, że i on się śmieje.

— No, co tam?

— O, to na pewno twoje mieszkanie! Wdrapała się w końcu na ostatnie piętro i ujrzała

Jeda, oglądającego plakat z nakręconej w latach pięćdziesiątych wersji „Kopalni Króla Salomona”, który wisiał przy jej drzwiach.

— Ciekawe, dlaczego mam takie przeczucie, że nasza wyprawa będzie znacznie gorsza niż to, co przeżyli w Afryce Południowej Stewart Granger i ta, jak jej tam...

— Deborah Kerr. I natychmiast przestań narzekać! Bo tylko to robisz od początku. Jeżeli nie przestaniesz, nie zabiorę cię. — Na moment zapadła głucha cisza. — Jednego dnia nie wytrzymałabyś beze mnie. — Jed patrzył na nią z nie ukrywaną wściekłością.

— Jednej godziny — syknął przez zęby.

— Wiem — powiedziała, wypuszczając powietrze. — Jednak ciągle mam mapę. — Uśmiechnęła się.

— Więc lepiej jedź ze mną.

Otworzyła drzwi do mieszkania i oto Jed znalazł się w galerii plakatów filmowych. Mieszkanie nie było duże, lecz bardzo przytulne i wygodne. Urządzone z gustem i zadbane. Usiadł na jednym z dwóch krzesel i rozejrzał się.

— Masz ciekawy gust, jeśli chodzi o sztukę filmową — powiedział, wskazując na plakaty. — „Afrykańska Królowa”, „Indiana Jones”, „Tarzan”, „Karmazynowy pirat”, „Kapitan Blood”, „Spartakus”. — przerwał, zdziwiony tym ostatnim.

— Lubię dołek w podbródku Kirka Douglasa.

— Wzruszyła ramionami.

Jed wstał i obszedł mieszkanie. Patrzyła, jak zatrzymał się przy trzech wąskich, wysokich oknach, z widokiem na malowniczą elewację budynku po drugiej stronie ulicy. Było to jej ulubione miejsce do przesiadywania i marzeń.

— A gdzie łóżko? — zapytał nagle.

— Siedzisz na nim.

— Aha.

— No, chyba się nie zgorszyłeś?

— Ja? — Spojrzał na nią niewinnym wzrokiem.

— Wprawdzie nie jestem obojętny na pani wdzięki, panno White, lecz teraz potrzebuję, po prostu, wygodnego miejsca, żeby trochę odsapnąć. Z lotniska pojechałem prosto do biblioteki. Nie miałem czasu wejść do hotelu. Poza tym, nie mam nawet ze sobą żadnych rzeczy na zmianę. Miałem zaraz wracać do Ann Arbor.

— Potrzebujesz rzeczy? — Jane uśmiechnęła się.

— Uratuje cię wyprawa do „Republiki Bananowej”.

— Bananowej, co... ?

— Zaufaj mi — powiedziała, spoglądając na jego koszulę. — Na pewno znajdziesz tam coś dla siebie.

## *Rozdział czwarty*

Dwadzieścia minut później stanęli w drzwiach „Republiki Bananowej”. Sklep udekorowany był drewnianymi rzeźbami, kłami słoni i różnego rodzaju bronią, a wszystkie rzeczy miały metki z napisem — „odzież podróżna safari”.

— No, jesteśmy w domu. — Jed uśmiechnął się szeroko.

Okazało się, że również on lubi robić zakupy. W czasie piosenki „Melancholijna kochanka”, przymierzył trzy koszule khaki, a potem dwie pary spodni. Na koniec zaczął przebierać w podkoszulkach ze szlufkami na amunicję; tym razem słuchali piosenki „Czy ktokolwiek widział moją dziewczynę”.

— Fantastyczne. — Jed zaczął ładować z entuzjazmem po pięć naboji kalibru 38 do każdej koszulki.

— Szykuje się pan na bal kostiumowy? — Młoda sprzedawczyni spoglądała na niego ciekawie.

— Nie, nie. — Uśmiechnął się do niej. — Jedziemy na tygodniową wycieczkę do kraju Yapa w Peru. A to — powiedział, wając w rękę kilka naboji — na aligatory, czy też cokolwiek innego, co zechce zrobić sobie z nas obiad lub kolację.

— Rozumiem — roześmiała się sprzedawczyni. — „Zjedz, bo inaczej ciebie zjedzą?”

— Dokładnie tak — zgodził się Jed. Schował ostatni nabój i rozpromienił się. — Te kule mi pomogą-

Rozłożył ręce, żeby pokazać Jane, jak wygląda w nowej koszulce.

— Znudziło mi się to, co do tej pory nosiłem.

— Jasne — powiedziała Jane. — Ale z tymi aligatorami to był tylko żart, prawda?

Zamiast odpowiedzi, uśmiechnął się złośliwie.

— Będę teraz nosił tylko to — oświadczył, gdy czekali, aż kasjer podliczy rachunek. — Spalę wszystkie garnitury i krawaty, gdy wrócę do domu. — Zamyślił się na moment uśmiechając się. — Właściwie to mam tylko jeden garnitur, a krawat zużyłem na opatrunek dla mojego przewodnika na zeszłorocznym safari w Zairze.

— O, bardzo mi przykro. Wy tłumacz mi jednak, co robiłeś w garniturze w afrykańskiej dżungli?

— To nie tak! Po prostu miałem krawat w bagażu.

— Na wypadek, gdybyś potrzebował bandaża? jęknęła znużona.

— Dobrze, już dobrze. — Uśmiechnął się. — Prawda jest taka, że nie rozpakowałem go od wyjazdu z Waszyngtonu. Musiałem przy pomocy krawata zatamować krwotok, przewodnik bliski był wykrwawienia się. — Potrząsnął głową, jakby chciał pozbyć się tych wspomnień. — Uch, połowa jego ręki po prostu... dyndała...

— Dostyc już — przerwała mu, gdy wychodzili ze sklepu.

Znowu nie wiedziała, czy mu wierzyć. Czasem był śmiertelnie poważny, a czasem... cóż, nawet nie umiała tego nazwać. W każdym razie, jeżeli chciał ją denerwować, wychodziło mu to świetnie.

Weszli do biura podróży, znajdującego się dwa domy dalej.

Siedziała tam tylko jedna znużona kobieta. Miała brookliński akcent i jaskrawoczerowne paznokcie. Gdy siadali przy biurku, spojrzała na zegarek. Było po piątej i najwyraźniej chciała już iść do domu.

Jane bardzo pragnęła ustalić cały plan wyjazdu jeszcze tego dnia.

— Chcemy jechać do Peru — zaczęła. — Jak najszybciej.

Kobieta zmierzyła ich z góry na dół i doszła do wniosku, że mówią poważnie.

— Mamy wspaniały hotel w Limie, tuż obok centrum handlowego. Jest bardzo bezpieczny, a cała obsługa zna angielski. Wszyscy nasi klienci są z niego zadowoleni. No i ma wspaniałą kuchnię.

Jane z entuzjazmem kiwała głową. Oczywiście, nie zatrzymają się w Limie na długo, ale nie było powodu, aby pozbawiać się przyjemności. Kilka dni pełnego relaksu niewątpliwie dobrze by im zrobiło. Poza tym, nie mogli być pewni, czy nie czeka ich wyczerpujący pościg, nie było więc sensu angażować się w jakieś beznadziejne poszukiwanie noclegu na miejscu, jeżeli można było zarezerwować coś dobrego.

Zerknęła na mężczyznę, z którym zamierzała podjąć tę wyprawę. Jednak Jed nie wykazywał ani odrobiny entuzjazmu. Nawet gdy tak siedział, nic nie mówiąc, emanował jakąś dziwną energią.

— Najlepsze w całej Limie restauracje znajdują się tuż za rogiem. Mogę również skontaktować państwa z mówiącym po angielsku przewodnikiem, Pedro Salinasem. To wspaniały człowiek, na pewno bardzo go polubicie. Wszyscy go zachwalają.

— Czy poprowadzi nas do kraju Yapa, przez Kordyliery, lasy tropikalne, wzdłuż rzeki Ucayali? Sto kilometrów w osiem dni przy czterdziestostopniowym upale? — Jed wyrzucił z siebie beznamiętnie.

— Kto? Pedro? — Agentka spojrzała na niego jak na szaleńca. — On ma prawie osiemdziesiąt lat.



— A więc, na nic nam się nie przyda. — Jane chciała obrócić to w żart, ale uśmiech znikł z jej twarzy, gdy zobaczyła, jak Jed rozsiada się i zaczyna mówić.

— Proszę pani. — Ton jego głosu był surowy. — Mam mało czasu i jeszcze mniej cierpliwości. — Rzucił kapelusz na wieszak stojący za jego krzesłem. Kapelusz wylądował idealnie na górnym haku. Zapadła chwila ciszy. Kobiety spojrzały na siebie.

— Proszę zarezerwować nam hotel El Diabolo. To piękne miejsce, o pięć godzin od Limy. Oczywiście trzeba sprawdzić, czy autostrada ocalała po ostatnim trzęsieniu ziemi. Będę też potrzebował czteroosobowego jeepa, w ostateczności może być jakiś z demobilu.

Agentka spisywała zamówienie, a jej ręka prawie fruwała nad papierem.

— Chwileczkę, proszę pana, nie mogę tak szybko pisać — zaprotestowała.

Począł, aż dziewczyna zapisze ostatnie zdanie, po czym mówił dalej w tym samym tempie.

— Zabieram ze sobą dwie sztuki broni palnej. Proszę poinformować o tym odpowiednie władze, żeby nie było kłopotów na granicy. Chcę też wynająć przewodnika, który poprowadzi nas wzdłuż Ucayali. W Arroya jest taki stary, rozsypujący się sklep. Prowadzi go pewien człowiek o imieniu Garcia. Ma najlepszych przewodników w Ameryce Południowej. Nie ma tam telefonu, ale założę się, że może nadać pani telegram, który na pewno dotrze do niego przed nami. Proszę zapytać, czy znajdzie kogoś wystarczająco naiwnego, aby zgodził się iść z nami. Jeżeli nie, sam będę musiał szukać.

Jane patrzyła na niego z powagą. Zaczęła zastanawiać się, w co się wpackowała. Jeżeli nawet Jed zauważył, co się z nią działo, nie dał tego po sobie poznać. W dalszym ciągu składał zamówienie.

— Po ośmiu, dziewięciu dniach, jeżeli będziemy jeszcze żywi, dotrzemy do Iquitos. Jest to małe miasteczko w dorzeczu Amazonki. Proszę nam zarezerwować nocleg w Posada Almagro i polecić Rico, aby postawił przy moim łóżku butelkę tequilli. Jeżeli jest pani agentką z prawdziwego zdarzenia, to ma pani, zapewne, mapy geologiczne...

— Chwileczkę, najpierw to załatwię. — Dziewczyna spojrzała na Jeda z respektem. — Tylko zadzwonię. — Wykręciła numer. — Cześć, kochanie. Wrócę dziś później — zerknęła na Jeda — dużo później.

Było już po ósmej, gdy wracali do mieszkania. Wniesienie zakupionych ubrań było znacznie łatwiejsze. Jane jęknęła, gdy wyobraziła sobie wielkość swojego bagażu.

Jed szedł, oczywiście, o parę kroków przed nią. Upał wciąż był nieznośny.

— Mam nadzieję, że mój wentylator działa — sapała. — Ma, niestety, czasem swoje humory. — Spojrzała do góry i zobaczyła, że Jed uważnie wpatruje się w jej drzwi. — No, co tam? Czy ten nowojorski upał dobrał ci się w końcu do skóry?

— Ktoś rzucił na nas urok.

— Co takiego? — Weszła na górę i zobaczyła, że coś wisi na klamce. Podeszła bliżej i ujrzała figurkę. Niesamowitą rzeźbioną głowę z rogami i kłami, zawieszoną na długim łańcuchu.

— Chyba nawiedził nas duch Lindy Blair — usiłowała zażartować. — Czy potrzebujemy ezgorcysty?

Jedowi nie było do śmiechu. W jego głosie czuć było wahanie.

— Ktoś chce nas przestraszyć. — Wskazał palcem na maskę.

— Wybrał dość ciekawy sposób. — Wzięła medalion do ręki, zamachała nim kilka razy, po czym odważnie zawiesiła go na szyi.

— Na twoim miejscu nie robiłbym tego. — Spojrzał na nią niepewnie.

— Dlaczego, jesteś przesądny? — Próbowiła się zaśmiać, ale sama zauważyła, że nie brzmiało to szczerze.

Jed też się uśmiechnął.

— Nie jestem przesądny, tylko czuję do tego obrzydzenie. Ta maska zrobiona jest z preparowanej kości. Pod wpływem wody czernieje i zacznie wydzielać zapach. Będzie wtedy ohydna.

Spojrzała na niego i poczuła dławienie w gardle. Coś w jego oczach ostrzegało ją, że nie był to tylko głupi dowcip. Weszli do mieszkania. Oboje byli wstrząśnięci.

To poważna sprawa — tłumaczył Jed, gdy siedzieli wieczorem, jedząc zapiekanki i rozmawiając. — Ktokolwiek zawiesił ten medalion na twoich drzwiach, na pewno chciał cię przestraszyć.

— Dobrze, już wiemy, że bierzemy udział w zawodach, a wyścig właśnie się rozpoczął — mówiła. Czuli się przy jego boku bardzo odważna. — Poza tym, nie zapominaj, że wciąż mamy w ręku jeden atut. Oni na pewno nie wiedzą, że mamy kopię mapy. — Poklepała swój portfel, a potem wskazała na kapelusz.

— Tak, to prawda. — Jed skończył jeść i wstał. — W każdym razie, wyruszamy jutro skoro świt, a teraz rozkładam to. — Wskazał na kanapę.

— Proszę bardzo. — Patrzyła przez moment, a potem poszła po śpiwór, który rozłożyła na podłodze. — Może chcesz poduszkę?

Zerknął na nią, ale nic nie odpowiedział, zdjął pas i zaczął rozpinąć koszulę.

— No wiesz — zaprotestowała. — Przestań natychmiast.

— W tej przygodzie nie będzie żadnej fałszywej skromności — oświadczył, przyglądając się jej uważnie. — Będziemy skazani na dzielenie miejsca do spania w różnych sytuacjach. Nie będzie tam łazienek i toalet, w ogóle niczego z cywilizowanej intymności. Możesz zacząć przyzwyczajać się do tego już teraz — skończył, zdjął spodnie i rzucił je na łóżko.

Jane nie mogła oderwać od niego wzroku. Oprócz błękitnych slipów i rozpiętej koszuli nie miał na sobie nic, a z jego szczupłego i prężnego ciała bił szczególny urok. Jej oczy wędrowały po opalonym ciele, aż zatrzymały się na długiej bliźnie na udzie.

— A to co? Ślad po ataku nosorożca?

— Ach, nie. To był Schwinn.

— Schwinn? — Zmarszczyła brwi. To coś z gatunku nosorożca?

— Raczej roweru — roześmiał się, przyglądając się bliźnie. — To był mój kolega, przed dwudziestu pięciu laty. Nie zauważyłem go, a on dopiero uczył się jeździć i miał kłopoty z utrzymaniem roweru. — Odwrócił się i bez cienia zażenowania poszedł do łazienki. Jego ruchy ściągały jej wzrok jak magnes.

Po chwili Jane usłyszała odgłos wody z prysznicy i potrząsnęła kilka razy głową, jakby chciała zrzucić z siebie zauroczenie. Naprawdę ten

mężczyzna działał na nią zniewalająco, z tym że musiała przyznać, iż to się jej podobało.

Rozejrzała się, czy nie ma czegoś praktycznego do zrobienia. Wzięła spodnie Jeda z łóżka, aby przewiesić je przez krzesło, a potem podniosła pas z przytroczoną do niego torebką. Klamra nie była zapięta i nagle wszystkie drobiazgi wysypały się ze środka na łóżko. Naboje, portfel, szkło powiększające, pióro kulkowe i... Ciężko westchnęła. Trzy identyczne, małe demoniczne maski z rogami i kłami.

Była zaskoczona odkryciem. Po chwili doszła do siebie i wzięła je do ręki. Wszystkie były dokładnie takie same jak ta, którą znaleźli wiszącą na kłamce.

Coś przyszło jej na myśl i rzuciła wściekłe spojrzenie na drzwi łazienki.

— No! Alabamo Smith — powiedziała spokojnie. — Nieczysto grasz, a zwycięzca będzie tylko jeden.

Jej umysł zaczął szybko pracować. Zebrała wszystkie drobiazgi do sakiewki i położyła pas na biurku. Usiadła, wzięła czysty kawałek papieru i uśmiechając się do siebie, zaczęła coś pisać.

— To powinno zadziałać szepnęła. Wzięła kapelusz Jeda i wyjęła kopię mapy, a na jej miejsce wsunęła list. — No, Smith — powiedziała. Teraz jest jeden do jednego.

Poczuła się niezwykle zadowolona i z triumfem spojrzała na drzwi łazienki.

— Jestem bardzo sprytna. Nikt tak łatwo mnie nie wykołuje. Nawet Alabama Smith, czy też Michigan Smith, ani nawet... — Przerwała,

słyszając, że woda przestała lecieć. Za chwilę miał wyjść i paradować przez pokój wspaniały, nagi mężczyzna.

Jed wyszedł z łazienki przepasany ręcznikiem. Był tak piorunująco atrakcyjny, że Jane aż jęknęła. Uświadomiła sobie, że sprawa nie będzie prosta. Jeżeli będzie tak miękła za każdym razem, gdy na niego spojrzy, mogą zacząć się kłopoty. Przeszła obok niego, patrząc przed siebie i udając obojętność, po czym zamknęła się w łazience. Teraz najbardziej potrzebowała długiej, gorącej kąpieli.

Odkręciła wodę i pomyślała, że to ostatnia, na bardzo długo, okazja takiego luksusu. Kiedy parę minut później zanurzyła się w pianie, ogarnęły ją wątpliwości. Kogo chciała oszukać? Wybierała się za granicę z mężczyzną, którego spotkała parę godzin wcześniej.

Z własnej woli pakowała się w szaloną przygodę, która mogła okazać się tragedią.

Wyciągnęła stopę z wanny, pozwalając, aby piana spłynęła powoli po jej skórze. To nieważne, że cała ta historia mogła okazać się jednym wielkim nieporozumieniem. Nie miał znaczenia fakt, że prawie nie знаła tego człowieka. Instynkt podpowiadał jej, że może mu całkowicie zaufać.

Do tej pory żyła jedynie fantazją, nigdy nie pozwalając, by rzeczywistość stała się choćby cieniem marzeń. Wiedziała, że to lekkomyślne zachłyśnięcie się przygodą, to nagłe poczucie wolności, może zawrócić jej w głowie.

Dziwne było to, że w tym wszystkim podróż nie była najbardziej podniecająca.

Dużo bardziej podniecająca była myśl o spędzeniu jej sam na sam z Jedem Smithem, tym niezwykłym człowiekiem, który wkroczył nagle w

jej życie, niczym niespodziewany promień słońca w deszczowy dzień. To było dla niej większym wyzwaniem niż las tropikalny, niż najdziksza dżungla. Jed Smith mógł zniewolić jej duszę.

Jak długo mogła udawać, że jej serce nie bije mocniej, gdy patrzyli na siebie? Prędzej czy później odkryje, co ich tak pociąga ku sobie.

Bardzo chciała wiedzieć, jak potoczą się sprawy. Gorąca, pienista woda obmywała jej smukłe i gładkie ciało. Była absolutnie pewna, że Jed pragnie kochać się z nią tej nocy. Serce jej drgnęło. Przypomniała sobie, ile razy w przeszłości wyobrażała to sobie. Czyż w swych sennych marzeniach nie kochała się z Alabamą Smithem? Zanurzyła się w pianie.

Klamka od łazienki drgnęła. Oczy Jane rozszerzyły się, gdy zobaczyła powoli uchylające się drzwi. To wystarczyło. Zsunęła się i niemal całkowicie zanurzyła w wodzie. Czekwała, wiedząc już dokładnie, co powinna zrobić.

W otwartych drzwiach stał Jed, owinięty jedynie w ręcznik. Oparł się o framugę. Jane ani drgnęła, wpatrując się w niego.

— Nie spodziewałaś się mnie tu zobaczyć — powiedział w końcu, rozkładając ręce.

Nic nie odpowiedziała.

— Chcę się z tobą kochać — rzekł namiętym głosem.

Starła się, aby nie zauważył, jak dreszcz przebiegł jej ciało.

— O! Doprawdy?

— A jak sądzisz, dlaczego spędziłem z tobą cały dzień? — mówił, wpatrując się w jej ciało.

— Myślałam, że chcesz się ze mną zaprzyjaźnić. — Woda robiła się coraz bardziej przezroczysta. Jane starała się łapać resztki piany, aby



zakryć wilgotne piersi, które właśnie się pojawiły nad powierzchnią wody. Jed uśmiechnął się, obserwując jej wysiłki.

— Oczywiście — powiedział, podchodząc bliżej. — Lecz przyjaźń nie kończy się przecież o zmierzchu.

Usiadł tuż obok niej, na brzegu wanny, i sięgnął po gąbkę, aby umyć jej plecy. Nie była zdecydowana, by go odtrącić. Przymknęła oczy, nieświadomie pogrążając się w rozkoszy. Otworzyła oczy, gdy zaczął powoli i delikatnie masować jej piersi. Pragnęła go, to było oczywiste. Wiedziała, że i on czuje to samo. Jednak to wszystko działo się za szybko.

— Przestań. — Złapała jego rękę. — Wyjdź, proszę.

— Mam wyjść? — Uśmiechnął się zdziwiony. — Chyba nie sądzisz, że możesz mnie podniecić, a potem kazać mi wyjść. Chyba tylko nagła śmierć mogłaby mnie powstrzymać.

— To da się zrobić. — Czują, że wraca jej opanowanie. Wyjęła z czeluści wanny rewolwer i wycelowała w jego głowę.

— No, no, nie doceniłem cię, Jane — powiedział, wstając natychmiast i spoglądając na nią z respektem.

— Rzeczywiście — odpowiedziała wyniośle i dała znak ręką, aby odszedł.

Resztki fantazji zniknęły, gdy rozglądając się po pustej łazience, doszła do wniosku, że już najwyższy czas skończyć z tym bujaniem w obłokach. Zmysłowość ich charakterów gwarantowała to, że główną rolę w jej snach będzie od tej pory grał zawsze ten sam aktor.

Wyszła z kąpieli i sięgnęła po ogromny ręcznik, zastanawiając się, jak należy dalej postępować. Jed Smith był tuż za drzwiami. Mogła po



prostu wyjść z łazienki do pokoju i spełnić swoje marzenia. Jej ręce trzęsły się, gdy brała z szafki butelkę wody kolońskiej.

Bez makijażu jej twarz wyglądała czysto i świeżo. Włosy miała rozpuszczone. Spoglądając w lustro, stwierdziła, że może być pociągająca.

Zupełnie nie wiedziała, co powinna teraz zrobić.

Owinęła się ręcznikiem, otworzyła drzwi i ostrożnie weszła do pokoju. Światło było zapalone, lecz panowała cisza. Uważnie obejrzała pokój i zauważyła Jeda — prawdopodobnie padł na śpiwór i od razu zasnął. Leżał z rękami wygodnie wyciągniętymi pod głowę. Miał na sobie tylko slipki, jego ciało było wspaniałe. Jane była rozczarowana.

— Donde esta su cuarto?... Donde esta su casa?... Donde esta su hotel?... Donde esta el libro?... Donde esta la pluma?... — Jane ćwiczyła hiszpański, spoglądając z okna samolotu na rozciągającą się w dole gęstą, peruwiańską dżunglę. Równocześnie zastanawiała się, jak to będzie, tam, na dole. Już wkrótce miała się wszystkiego dowiedzieć.

Zerknęła na Jeda, który sapał przez sen na fotelu obok. Przespał niemal cały lot.

— Jak można tyle spać? — spytała głośno, mimo że nie oczekiwała odpowiedzi.

— Wcale nie śpię. — Usłyszała nagle. — Mam kłopoty ze snem. Zawsze staram się zasnąć tam, gdzie mogę, a i tak połowę czasu tylko drzemię.

— No, nie miałeś kłopotów wczoraj wieczorem — odpowiedziała drwiąco.

— Nieprawda. Zajął mi to prawie dwie godziny. Zwykle nie jest aż tak źle, ale wczoraj, gdy tylko się położyłem, dopadła mnie pewna wizja. Rozmyślałem nad nią przez dłuższy czas.

— Aa! Podglądałeś! — Machnęła mu też przed nosem podręcznikiem do hiszpańskiego, ale on nie zareagował.

— To była naprawdę wspaniała wizja — mówił dalej, skłoniwszy się grzecznie w jej stronę i mrugnawszy okiem.

— Ale, dlaczego nie... — zamilkła nagle, gdyż zorientowała się, że prawie się wygadała.

Jeda trudno było oszukać. Tylko jego niewymuszona prostota uratowała ją od zakłopotania.

— Dlaczego nie wstałem do ciebie i nie zaczęliśmy się kochać? — Wzruszył ramionami. — Dopiero się poznaliśmy. Poza tym, to jest prawdziwa wyprawa, a nie wakacje. Nie chcę, żeby na mojej drodze stały jakieś uczucia.

— Och — westchnęła, nie mając nic więcej do powiedzenia.

— W każdym razie w innych sprawach możesz **na** mnie liczyć. — Odwrócił się i ponownie zasnął.

Nie podobało jej się to, ale postanowiła dać mu się wyspać. Tego poranka obudził się dwie godziny przed nią i spakował oba plecaki. Poczekala, aż pójdzie do łazienki, gdyż chciała dyskretnie sprawdzić, czy był na tyle uprzejmy, żeby dać jej lżejsze rzeczy do niesienia.

Niestety, nie. Oba plecaki ważyły co najmniej tonę.

Pewnie chciał załamać ją psychicznie. Nie mogła, oczywiście, pozwolić na to. W czasie, gdy się golił, wyjęła rzeczy ważące jakieś

trzydzieści kilogramów i wrzuciła je do plecaka Jeda. Później, gdy nieśli je do punktu celnego na lotnisku w Limie, Jane z trudem ukrywała chichot.

Mężczyzna dźwigał swój plecak z wyraźną irytacją.

— Co się stało? — zapytała, podając swój bagaż celnikowi.

Jed otworzył plecak i od razu zorientował się w czym rzecz.

Zaczął wyrzucać rzeczy przed celnikiem, który usiłował go powstrzymać.

— To nie jest konieczne, senior.

— Nic nie szkodzi, bardzo dobrze wiem, co robię. — Sięgnął bezceremonialnie do plecaka Jane i przełożył do niego część rzeczy.

Celnik w tym czasie sprawdzał dokumenty i zezwolenia.

— Widzę, że planujecie państwo podróż nad Ucayali. — Spojrzał na nich z zainteresowaniem. — To jest kraj Yapa.

Jed skinął głową.

— Musicie być bardzo ostrożni. Dostałem właśnie raport, że w rejonie, do którego się wybieracie, pojawili się guerillas.

— Goryle? — Jane była zaskoczona.

Z trudem walczyła z charakterystyczną dla obcokrajowców ciekawością.

— Goryle w Ameryce Południowej? — powtórzyła. — Myślałam, że żyją tylko w Afryce.

— To są rewolucjoniści, seniorita. Bardzo niebezpieczni. Tacy, którzy najpierw zabijają, a dopiero potem zadają pytania.

— Ach, to ten rodzaj gorillas. — Uśmiech zniknął z jej twarzy. Spojrzała na Jeda, głośno przelękając ślinę.

— Masz jeszcze szansę zrezygnować. Mogę podrzucić cię do tego anglojęzycznego hotelu. To jest po drodze. Jeżeli będziesz miała trochę szczęścia, może spotkasz Pedra, tego starego przewodnika. Jak ci się uda, to naciągniesz go na popołudniową wycieczkę.

— Niemożliwe. — Zapięła zamek plecaka i odwróciła się, aby przykucnąć i założyć szelki na ramiona.

Westchnęła ciężko. Plecak znów ważył tonę.

— Pański jeep czeka na zewnątrz, senior. Powodzenia — powiedział celnik uprzejmie, lecz bardzo krytycznie.

— Chwileczkę. — Dziewczyna podeszła chwiejnym krokiem do celnika. — Czy nie widział pan przez przypadek pewnego starszego człowieka? Wygląda jak prawdziwy naukowiec. — Tu podała szczegółowy opis, łącznie ze znamieniem na prawej dłoni profesora.

— Ach! Profesor Schmidt! — wykrzyknął celnik.

## *Rozdział piąty*

Wymienili szybkie spojrzenia.

— Zna go pan? — zapytała Jane.

— Profesora? Oczywiście! Jest ekspertem w dziedzinie peruwiańskich zabytków. Przyjeżdża do nas przynajmniej raz w miesiącu. Przypuszczam, że jest tu tak samo znany, jak i u was.

Podziękowali cicho celnikowi i przeszli na zalany słońcem plac w kierunku czekającego na nich jeepa.

— A więc, jak widać, Schmidt jest w Limie lokalnym bohaterem. — Już trzeci raz w ciągu ostatnich godzin Jane zaczęła rozmowę o profesorze.

Pędzili wojskowym jeepem z zawrotną szybkością.

Jechali brudną, jednokierunkową drogą. Oprócz kilku przypadkowych chat, widzieli wokół tylko dżunglę.

— Minęliśmy już Limeę.

— Hmm?

— Jeżeli dobrze pamiętam — powiedział po dłuższej chwili — gdzieś przed nami jest rzeka. Montanoya, jeśli mnie pamięć nie zawodzi.

— To zdumiewające — powiedziała z podziwem. — Jedziesz od czterech godzin drogą donikąd i nawet nie spojrzysz na mapę.

Szczerze mówiąc, nie martwiła się wcale, gdyż pewność i zdecydowanie Jeda dodawały jej otuchy.

— A podoba ci się ta jazda? — Zerknął na nią. Nagle uderzyli w coś i omal nie spadła z siedzenia.

Schwyciła uchwyt przy drzwiach, starając się utrzymać równowagę.

— Ostatni drogowskaz widziałam czterdzieści minut temu. Jesteś pewien, że dobrze jedziemy?

— Z tego, co pamiętam z poprzedniej podróży, wkrótce będzie następny znak. — Wzruszył ramionami.

— Jedyne, co teraz widzę, to słońce zachodzące w tempie naszej jazdy, a ostatnią stację benzynową widziałam przy zjeździe z autostrady na tę ścieżkę.

— To jest właśnie Peru. Tylko w połowie cywilizowane.

Po chwili wskazał na górski grzbiet, widoczny po prawej stronie.

— Jedziemy na wschodni płaskowyż. Tam są tylko niezbadane góry i gęsta dżungla. Ciesz się z tej drogi, którą tu mamy, jest beznadziejna, to fakt, ale jest. Dalej, za hotelem El Diabolo, w Pucallpa, gdzie zatrzymamy się na noc, jest już tylko nieznaną dzicz.

Jane poruszyła się niespokojnie. Jak dla niej, teren, po którym jechali, był już wystarczająco dziki. Gdy pomyślała, że ta droga, której prawie nie było, będzie witana przez nich z radością, kiedy będą wracali, zrozumiała, w co się wpakowała.

— Powtórzmy jeszcze raz. — Zrobiła wysiłek, żeby zachowywać się naturalnie. — Przez półtora dnia będziemy płynąć łodzią w dół rzeki Ucayali. Sprzedamy łódź Indianom Mescalti, aby przepuścili nas przez swoje terytorium. Potem pójdziemy dalej, na wschód, w stronę granicy brazylijskiej.

— Przez wzgórza i dżunglę Yapa dojdziemy do rodzinnego domu — zanucił. — Miejmy nadzieję, że spotkamy Schmidta, zanim dotrze na tereny Indian Mescalti.

— Może po prostu powinniśmy połączyć nasze siły?

— Co takiego? Chyba oszalałaś! Nawet nie wiemy, czy on w ogóle gdzieś tutaj jest. A jeżeli zapomniałaś, po co tutaj przyjechaliśmy, to możemy zaraz jechać do Iquitos, tam weźmiemy prysznic, zjemy coś sensownego, wyśpimy się w wygodnych łóżkach i wracamy do Limy.

— Przestań.

W tym momencie coś ponownie wstrząsnęło jeepem. Jane z całej siły złapała się drzwi.

— To chyba przeznaczenie chce ci coś przekazać. — Jed roześmiał się. — O, patrz, stacja benzynowa.

— Gdzie? — Rozejrzała się i zobaczyła zrujnowaną chatę, przy której siedział, paląc papierosa, stary mężczyzna w obdartym poncho. — Chyba tylko ty możesz nazwać to stacją benzynową.

Zatrzymali się i Jed nacisnął klakson. Zamachał do starego człowieka, który wstał, nie okazując ani zaskoczenia, ani większego zainteresowania. Najwyraźniej był absolutnie przyzwyczajony do jednego klienta dziennie.

Dziadek powiedział parę słów po hiszpańsku i schował do kieszeni kilka banknotów. Bez pośpiechu wszedł do swojej rudery i wyniósł wielką puszkę. Napełnił im bak do pełna, wziął pieniądze, po czym usiadł na krześle w tej samej pozycji, w której go zastali.

Jane była uszczęśliwiona tą chwilową przerwą w podróży. Kilka minut później ponownie byli w drodze i jeep znów rozwinął maksymalną prędkość.

— Musisz tak pędzić?

— Tak! Inaczej nie dojedziemy tam nawet za rok.

Znowu o coś uderzyli; Jane wrzasnęła, chwytając się drzwi samochodu nadludzkim wysiłkiem.

Jed zwolnił na chwilę, żeby mogła złapać równowagę, lecz gdy tylko usiadła, ponownie przyspieszył.

— Teraz nie wysiadaj! — zakpił.

Wziął zakręt przy kępie krzewów i palm. Dziewczyna zobaczyła, że droga przed nimi kończy się, a Jed wcale nie ma zamiaru zwolnić.

— Czy ty na pewno wiesz, co robisz?!

— Trzymaj się! — Uśmiechnął się złośliwie. Zerknęła przed siebie. Nie był ani śladu drogi.

A oni jechali wprost przed siebie, przez krzaki i zarośla. Ze wszystkich stron otaczała ich gęsta roślinność.

— Jesteś szalony, wiesz o tym?! — wrzasnęła.

— Witaj w Peru! — To było wszystko, co miał jej w tej chwili do powiedzenia.

Zamknęła oczy w strachu. Spojrzała przed siebie i nagle zobaczyła, że kierują się prosto do rzeki.

— O nie, nie ośmielisz się. — Chwyliła go za ramię.

— Trzymaj się! — krzyknął przyspieszając. Jeep stukał i trzął się, gdy wyjechali na brzeg, zostawiając za sobą pogniecione liście i pnącza.

Dotarli do rzeki. Jane poczuła nagłe szarpnięcie. Woda trysnęła ze wszystkich stron, wlewając się do wnętrza samochodu.

Nie zważając na to, Jed jechał dalej.

Fale, zalewające jeepa w czasie tej przeprawy przez rzekę, przemoczyły ich do suchej nitki.



— Wariat! — krzyknęła, zakrywając twarz dłońmi. — Zatrzymaj się, zanim utoniemy!

— Właśnie to chciałem zrobić.

Jane spojrzała przed siebie i ujrzała, że jeep wydostaje się z wody na przeciwległy brzeg. Samochód toczył się jeszcze moment w rzeczonym mule, aż zatrzymał się przed jakimś budynkiem.

Zaskoczona Jane zobaczyła dom, który musiał stać tu od wieków. Miał balkony z kutego żelaza i otoczony był zadbanym trawnikiem z klombami kwiatów. Otarła wodę z twarzy i spojrzała ponownie. Dom stał dziesięć metrów od rzeki, na brzegu której cumowały dwa tuziny łodzi. Na prawo od nich, pod kępą palm, siedziało przy okrągłym stole kilkunastu mężczyzn, pijąc i grając w karty.

— O nieba, gdziekolwiek jesteśmy, nie jest to już nasz świat — powiedziała.

Mocno zbudowany mężczyzna, z długimi, ciemnymi włosami i śmiejącymi się oczyma odłączył od grupy, aby ich przywitać. Miał na sobie podarte poncho, amerykańskie jeansy i nieco za duże sombrero. Pił dietetyczną coca-cole.

— Buenos dias, seniorita y senior — powiedział serdecznie. — Jeżeli szukacie najlepszych przewodników w całej Ameryce Południowej, to dobrze trafiliście. Znamy doskonałe tereny na obozowiska, połowy ryb i podziwianie piękna przyrody. Będziecie absolutnie bezpieczni pod naszą opieką. Możecie też być pewni, że znaleźliście się w miejscu oddalonym od cywilizacji.

— Przecież wiem to doskonale, Garcia, ty stary durniu! — Jed uśmiechnął się od ucha do ucha.

Mężczyzna zdjął sombrero i przez moment uważnie im się przyglądał.

— No, coś takiego!

— Nie śnisz, Garcia, to naprawdę ja.

Nagle obaj rzucili się sobie w ramiona, klepiąc się po plecach. W końcu Garcia uniósł Jeda i pokrzykując radośnie, przerzucił go przez ramię, niczym worek ziemniaków, a następnie postawił go na ziemi i przyglądał mu się, kiwając głową.

— Nie mogę uwierzyć, że ciągle żyjesz, senior Smith.

— Będę żył dziewięć razy, jak kot. To jest dopiero moje trzecie życie, więc nic się nie martw. — Roześmiał się serdecznie.

Garcia spojrzał na Jane z ciekawością.

— Tym razem przyjechałeś z kobietą — powiedział i zwrócił się do niej. — To jest najdzielniejszy mężczyzna na całym świecie, seniorita. Wie pani, widziałem, jak przepłynął łodzią rzekę pełną piranii i niebezpiecznych wodospadów, a nie zamoczył nawet jednej nogi!

— No, to trzymaj się swojego sombrero, amigo. Popłyniemy tą rzeką jeszcze raz. Tym razem do kraju Yapa.

Uśmiech zniknął z twarzy Garcii. Wiadomość ta bardziej go zmartwiła, niż ucieszyła.

— W takim razie piranie będą najmniejszym problemem — powiedział ponuro.

Jane była wstrząśnięta.

— Wiem — odpowiedział radośnie Jed. — Dlatego zwracam się właśnie do ciebie.

— To na nic. Żaden z moich ludzi tak daleko nie pójdzie. — Jego głos był twardy. — Zawszona dżungla! Byłoby bardzo niedobrze, gdyby znaleziono ciała dwojga amerykańskich turystów gdzieś w rzece Ucayali. — Przyjrzał im się uważnie. — Co takiego ważnego ściągnęło was tutaj?

— Wakacje. — Jed wzruszył ramionami. Garcia roześmiał się głośno.

— Tak, tak. Tej szalonej drogi przez dżunglę pełną węży i moskitów w żadnym razie nie można uznać za wakacyjny odpoczynek. Jesteśmy w Peru, a nie w Disneylandzie.

— Czy uwierzysz mi — Jed postanowił spróbować ponownie — że cztery lata temu zgubiłem złoty zegarek kieszonkowy mojego dziadka? To było przy głazie, w jaskini, gdzie zakręca dziewicza rzeka. Ten zegarek to rodzinna pamiątka.

— A teraz chcesz zaryzykować życie, aby go znaleźć, zanim twoja biedna matka zauważy, że zniknął? — Garcia kiwał głową.

— Pękłoby jej serce, gdy się dowiedziała.

— Tak, naprawdę mam przed sobą Jeda Smitha. — Garcia roześmiał się. — Nie wierzę w ani jedno twoje słowo. — Klepnął go przyjaźnie po plecach i zerknął na Jane, która słuchała tego wszystkiego z zapartym tchem.

— Rozczarowałeś mnie, przyjacielu — dodał po chwili. — Nie powiedziałeś mi prawdy.

— To tak jak ty — odpowiedział szczerze Jed. — Zrobimy tak: powiesz mi, co zaprzęta twoją głowę, a potem może, powtarzam może, powiem ci coś o sobie, zgoda?

— No proszę, może powiesz? — Ruszył w stronę domu.

Przybysze szli tuż za nim. Zatrzymał się i spojrzął w ich stronę, w jego oczach czał się uśmiech.

— Nikt nigdy nie chciał jechać do kraju Yapa. W każdym razie, żaden turysta. Ci, którzy chcą tam się dostać, muszą czegoś szukać. Sądzę, że to coś wartościowego. — Spojrzął na Jane, która zupełnie nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Wprawdzie robił przyjazne wrażenie, jednak wiedziała, że nie można mu ufać do końca.

— Do rzeczy, Garcia — odezwał się Jed. Stał prosto, z głową lekko przechyloną na bok i rękami swobodnie opuszczonymi wzdłuż ciała.

Zupełnie nie spodziewali się odpowiedzi, którą otrzymali.

— Nigdy wcześniej nikt nie prosił mnie o przewodników w tamte rejony, aż tu nagle, w ciągu dwunastu godzin, mam dwa zamówienia — wyrzucił jednym tchem Garcia.

— Schmidt! — Amerykanie wymienili spojrzenia. — To był starszy mężczyzna? — zapytała Jane.

— Nie było mnie w domu. Jeden z moich ludzi odebrał telefon. — Wzruszył ramionami.

— Telefon?! — Jed był bardzo zaskoczony. — Naprawdę macie tu telefon?

— Oczywiście. — Kiwnął głową zniecierpliwiony.

— Od kiedy?

Garcia wskazał na kable telefoniczne ciągnące się od budynku w stronę asfaltowej szosy, prowadzącej przez las.

— Jak robili drogę, położyli też kable.

— Bitą drogą! — Jed aż zaskrzeczał z niedowierzania.

— Przywiozłeś nas tutaj drogą, która była śmiertelną zasadzką! — Jane zaczęła krzyczeć. Była wściekła. — Tylko dlatego, że nie zajrzałeś do mapy! Nie mogę w to uwierzyć!

— Minęły cztery lata — powiedział Jed przepraszającym tonem. — Nie sądziłem, że można tu zrobić tak wiele w tak krótkim czasie.

— Mamy też pas startowy — dumnie wtrącił Garcia. — Mogliście po prostu przylecieć samolotem, oszczędzając trzy godziny.

— To było pięć godzin — powiedziała Jane, uderzając się dłonią w czoło.

— Gdzie jest człowiek, który odebrał ten telefon? — Jed postanowił jak najszybciej zmienić temat. — Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym z nim pomówić.

— Niestety, teraz jest to niemożliwe. Pojechał wczesnym rankiem do Limy, ale wróci za dzień lub dwa.

— Bardzo w to wątpię. Nie wróci tak szybko — mruzczała Jane. — Założyłabym się, że najął się jako przewodnik Schmidta.

— Przegrałaby pani ten zakład, seniorita. Garcia odwrócił się i popatrzył na grupę ludzi pod

drzewami. Dziewczyna zaczęła im się uważnie przyglądać.

Zauważyła, że byli znacznie bardziej smukli i muskularni od przeciętnych ludzi. Żaden nie wyglądał na otwartego i bezpośredniego. Najwidoczniej ich przywódca był wyjątkiem, jeśli chodzi o towarzyskość i okazywanie grzeczności.

— Zapytam moich ludzi. — Uśmiechnął się do Jane. - Jeżeli któryś z nich zechce skrócić sobie kark jako wasz przewodnik, to będzie jego prywatna sprawa. Ile zamierzacie zapłacić?

Jed wyjął portfel i zaczął liczyć banknoty. W tym momencie ludzie znad rzeki zainteresowali się przybyszami. Usiedli, a ich twarze zdradzały pewne napięcie.

— Hombres!? Escuchen! — zawołał do nich Garcia po hiszpańsku.

Wyjaśniał im, czego oczekują goście. Mężczyźni słuchali uważnie. W chwili, gdy padło słowo Yapa, stracili wszelkie zainteresowanie.

— Widzicie sami, jest tak, jak mówiłem. — Roześmiał się. — Tu w okolicy można urządzić niezłą wycieczkę — dodał z naciskiem. — Może się zdecydujecie, skoro już tu jesteście.

— Straszne — przerwała mu Jane. — Tam leży zakopany skarb gotowy do wzięcia, a my nie możemy znaleźć ani jednego człowieka, żeby się podzielić.

Przewodnicy powrócili już do gry w karty, lecz Garcia dobrze słyszał, co mówiła. Spojrzał jej z ciekawością prosto w oczy.

— Skarb? — Oczy mu zabłyśły. — Pani powiedziała: skarb, seniorita?

— Tak, senior, fortuna w złocie. — Obdarzyła go promiennym uśmiechem.

Hotel El Diabolo leżał dokładnie tam, gdzie mówił Jed — o trzy godziny drogi znikąd donikąd. Przez cały czas jazdy do hotelu Jane narzekała.

— Jeden prosty telefon uchroniłby nas od tej piekielnej podróży. Nie będę ci opisywać, które kości innie bolą. Wszystko mnie boli, całe ciało.

Znosił jej narzekania całkiem dobrze.

— Najważniejsze, że przekonałaś go, żeby z nami pojechał — mówił łagodnie. — I to za darmo! Doskonały interes. — Klepnął się po portfelu. — Zaoszczędzone tysiąc dolarów.

— Wcale nie za darmo — zwróciła mu uwagę. — Jest teraz naszym wspólnikiem, musimy podzielić skarb na trzy, a nie na dwie części.

— A, no tak. Skarb. Prawie zapomniałem o tym drobiazgu. Nie mogę się doczekać tej chwili, kiedy okaże się, że nie ma żadnego skarbu. — Roześmiał się. — Przemyśl to sobie, zawsze jeszcze możesz zawrócić. Jutro rano wsadzę cię w autobus do Limy i w pół godziny wrócisz do cywilizowanego świata.

— I pozwolę wam wziąć całe złoto? — zachichotała. — O, przenigdy!

— Jestem wykończony tłumaczeniem tobie, wciąż od początku, tego samego. — Westchnął. — Może po powrocie będziesz chciała szukać skarbu Reifa Erikssona?

Nie słuchała, gdyż zajęta była snuciem planów.

— Możliwe, że Garcia zostawi cię z tyłu i pójdzie sam — martwiła się.

Zrobiło się ciemno. Jechali po brudnej, jednokierunkowej drodze, ale Jed sprawiał wrażenie, że wie, co robi. W końcu dotarli na szczyt szerokiego pasma gór. Dziewczyna musiała kilka razy przełknąć ślinę, żeby odetkały jej się uszy.

— Jesteśmy sześćset metrów nad poziomem południowego krańca basenu rzeki Ucayali — oświadczył, gdy podjeżdżali pod coś, co zapewne było hotelem.

Do płotu przed budynkiem przywiązany był osioł, dwa konie i jedna krowa.

— Spodoba ci się tutaj — zapewniał, pomagając jej wysiąść z samochodu. — To jest bardzo znane miejsce, jak wiesz.

Czuła, że jest wykończona. Miejsce, w którym się znalazła, interesowało ją o tyle, o ile mogła natychmiast położyć się spać.

— Pokaż mi tylko, gdzie jest mój pokój. Chcę wziąć prysznic, przegryzę cokolwiek i idę spać.

Minęli dwoje drewnianych drzwi i znaleźli się w hotelowym przedpokoju. Było tam tłoczno, co bardzo ją zaskoczyło.

— Mówiłem ci, że El Diabolo jest, w pewnym sensie, atrakcją turystyczną. Rano zobaczysz go w całej okazałości.

Zameldowali się i poszli do pokoiów na pierwszym piętrze. Jane zrzuciła plecak i położyła go na dywanie w korytarzu.

— Gdybyś mnie potrzebowała, jestem obok. Pospiesz się z prysznicem i przebieraniem, zaraz będą podawać kolację.

Jane wciągnęła plecak do pokoju i zostawiła go przy drzwiach, a sakiewkę rzuciła na łóżko. Właśnie miała wejść do łazienki, gdy zatrzymała ją pewna myśl. Musiała być przecież ostrożna, więc postanowiła wrócić po sakiewkę. Miała w niej schowane mapy — obie kopie.

Nieraz wyobrażała sobie sceny podobne do tej. Wiedziała dobrze, że mapy z zaznaczonymi na nich miejscami ukrycia skarbów znikają, gdy nie są odpowiednio strzeżone.

Chwyciła sakiewkę i postanowiła zostawić w niej jedną mapę, a drugą schować w obcasie buta. Odpięła zamek w bocznej kieszeni, gdzie powinny być mapy i z przerażeniem odkryła, że obie zniknęły!



Krzyknęła i przeszukiwała nerwowo całą sakiewkę. Jedyne, co znalazła, to jakąś kartkę i bilet powrotny do Limy.

Z bijącym sercem przeczytała na głos:

— „Kolację jemy dziś u mnie. Autobus do Limy odjeżdża jutro, punkt dziewiąta. Jeżeli jesteś rozsądna, zabierzesz się nim. ”

Zgniotła kartkę i ze złości kopnęła łóżko.

— Panie Smith. — Uniosła głowę. — Nie powiedziałam jeszcze ostatniego słowa.

— Chyba zwariowałam, żeby się na to nabrać — mruczała pod nosem, usiłując pokonać zakręt rzeki.

Wiosłowała bardzo niepewnie. Wybrała się sama w tę drogę, aby pokazać mu, co potrafi.

Wczoraj wieczorem Jed mówił, że wyruszy bardzo wczesnie. Gdy nie odpowiadał rano na jej pukanie, doszła do wniosku, że ją zostawił.

Ostatni raz płynęła łódką na obozie nad Winepasaukee w New Hampshire. Miała wtedy trzynaście lat.

Szybko przekonała się, że rzeka Ucayali znacznie różni się od jeziora Winepasaukee. Gałęzie dziwnych, poskręcanych drzew zwisały nisko nad brzegiem rzeki, rzucając drżące cienie na powierzchnię wody. Była mgła. Wszędzie panowała absolutna cisza. Miała wrażenie, że jest intruzem, a nie gościem w tej dziewiczej okolicy.

— Jed! — krzyknęła z całej siły. — Wiem, że gdzieś tutaj jesteś! — Jej głos wdarł się gwałtownie w ciszę doliny.

Stado ptaków wzbiło się w powietrze. Szybko miała się przekonać, że to nie jej głos spłoszył ptaki. Coś je wystraszyło, i to coś znajdowało się

z przodu, lam, dokąd płynęła. Zamarła na moment, po czym skręciła, aby uciec od tego czegoś, co wyraźnie zmierzało w jej kierunku.

Stworzenie również zmieniło kierunek i teraz płynęło prosto na nią.

— O Boże. Zje mnie na śniadanie! Wiem to! To na pewno aligator.

Próbowała wiosłować, lecz mimo wysiłków, nie udawało się to. Prąd był zbyt silny.

Uniosła wiosło, gotowa do obrony, a wolną ręką sięgnęła po zakrzywiony, ostry nóż myśliwski.

— No dobrze, ty potworze — powiedziała odważnie. — Chodź tu, potnę cię na strzępy.

Siedziała wyczekując, gotowa zabijać, a jej serce waliło jak młot. Potwór uniósł łeb i Jane instynktownie skuliła się.

Nagle odważyła się przyjrzeć stworzeniu i zobaczyła, że to nieszkodliwe, małe zwierzątko, które łypie na nią przyjaznym okiem.

— Kapibara?

Przynajmniej wyglądało jak kapibara. Około pół metra długości, błyszcząca, czarna sierść, ruchliwy pyszczek, bystre spojrzenie.

Z ulgą głośno wypuściła powietrze i uśmiechnęła się.

O, dzień dobry — powiedziała, sięgając po kawałek chleba, który miała w plecaku. Wyrzuciła go za burtę.

Kapibara podpłynęła, chwyciła chleb i zaczęła to-warzyć łodzi.

— Czuję się zaszczycona. Od ponad czterech godzin nie widziałam przyjaznego stworzenia.

Jej samopoczucie, podobnie jak rytm serca, powoli wracały do normy.

— Muszę przyznać, moja mała kapibaro, czy kim tam jesteś, że nieźle mnie przestraszyłaś.

Jane płynęła bez przeszkód. Minęła mały zakręt na rzece i nagle poczuła, że jest bardzo głodna. Było już południe. Bała się przybić do brzegu. Poza tym, miała nadzieję, że Jed i Garcia także zatrzymają się, aby coś zjeść. Mogłaby dzięki temu ich dogonić. Wiedziała, że takie dwa złośliwe typy jak oni będą płynąć bez przerwy aż do zmroku. Pomyślała o samotnym noclegu w dżungli. To było zbyt wiele jak na nią. Może lepiej spać w łodzi? Tak, to wydało jej się znacznie bezpieczniejsze. Może tym sposobem dogoniłaby ich, gdyby rozbili obóz gdzieś na brzegu rzeki. Prawie poczuła zapach dymu z ogniska.

— Czyż nie będzie zaskoczony? — powiedziała do siebie, a jej odwaga znacznie wzrosła. Starła się wyobrazić sobie jego minę, gdy wkroczy do ich obozu z trzema wielkimi rybami na obiad.

Oczywiście nie dałaby mu świeżej ryby, gdyby nie oddał jej mapy.

— Ci szaleńcy zaraził gorączką złota będą się starali pokonać profesora — poinformowała kapibare, która właśnie wskoczyła na wystającą z rzeki skałę.

Zmarszczyła czoło, zastanawiając się, czy Jed chciał się pozbyć jej dlatego, że opóźniała pościg, czy dlatego, że chciał zagarnąć cały skarb dla siebie. W końcu to on odkrył mapę.

Rysy twarzy rozluźniły się, gdy pomyślała, jak niezwykłym człowiekiem jest Jed Smith. Przecież dbał o jej bezpieczeństwo. Troszczył się, żeby nic złego jej się nie stało. Zaraz jednak pomyślała, że to nieprawda. Ta rzeka była przecież taka spokojna. Nawet dziecko poradziłoby sobie z nią bez kłopotu.

— Gładka jak jedwab — powiedziała na głos, spoglądając na kapibarę. — Prosta jak drut. — Uśmiechnęła się.

Po chwili jednak uśmiech zniknął z jej twarzy. Usłyszała dziwny dźwięk. Nie mogła go zidentyfikować. Nasłuchiwała uważnie, zerkając na kapibarę.

— To brzmi, jakby ktoś nalewał wody do wanny. Co ty o tym sądzisz? — Starła się ustalić źródło dźwięku.

Nagle kapibara uniosła łeb, zastrzygła uszami i w ułamku sekundy, szybciej niż kula z pistoletu, zniknęła.

— Ciekawe, co ją tak przeraziło? Długo nie czekała na odpowiedź.

— O, nie! Nie! — wrzasnęła. — Niee.... !

## *Rozdział szósty*

Z przodu majaczyło coś przeraźliwego — potężny wir. To było tak, jakby cała rzeka obraziła się na Jane. Tak daleko, jak mogła sięgnąć wzrokiem, widziała jedynie białą, spienioną wodę.

Wirów było więcej, wydawało się, że nie mają końca. Chciała pomyśleć, która strona rzeki zapewni jej większe bezpieczeństwo, ale rzeka zadecydowała za nią.

— Aaaaaa... ! — wrzasnęła przerażona, gdy porwał ją wściekły prąd spienionej wody.

Nagle ze wszystkich stron otoczona była głazami. Woda znajdowała ujście, porywając łódź przez skalny labirynt z szaloną prędkością. Łódź ślizgała się z jednego wiru w drugi, obijając się o skały. To było jak jakiś obłądny zjazd kolejką w wesołym miasteczku.

Woda co chwilę zalewała jej oczy, tak że nic nie widziała. Szum był wszechogarniający, a gdzieś między większymi jego nasileniami słyszała jakby odległe bicie dzwonów. Nagle uświadomiła sobie, że był to odgłos jej metalowej łodzi, która pchana siłą wody odbijała się od głazów.

W tej szaleńczej drodze donikąd sekundy zamieniały się w minuty, a minuty w godziny.

Za każdym razem, gdy wpadała w potężny wir między skałami albo wyrzucana była do góry, stawała oko w oko z przeznaczeniem i wszechogarniającym ją strachem.

W końcu, zapierając się wiosłem o głaz, zdołała uniknąć tragedii. Wypchnęła łódź z wiru, w którym kręciła się, jakby była obracana potężnym, wodnym palcem.

Gdy spojrzała za siebie, zobaczyła z przerażeniem, przez co przeszła. A właściwie spojrzała przed siebie, gdyż siła wody obróciła jej łódź.

Przeżyła kolejny potrzask, szczęśliwy o tyle, że znów płynęła z prądem rzeki. To, co zobaczyła przed sobą, sprawiło, że zapragnęła wrócić tam, gdzie przed chwilą omal nie umarła...

Przetarła ręką oczy, żeby upewnić się, iż nie śni i dobrze widzi. Żadna fantazja nie stworzyłaby tego, co ujrzała na horyzoncie. Woda aż wrzała pod ścianą potężnego wodospadu. Nie była w stanie ocenić, jak wielki czeka ją upadek, mogła jedynie modlić się o przetrwanie. Pchała ją przepotężna siła. W dodatku miała wrażenie, że siedzi w wannie. Spojrzała w dół i zobaczyła, że łódź jest pełna wody. Z plecaka wyciekło coś czerwonego, pomyślała, że to pewnie kosmetyki. Nie zważając na zbliżający się wodospad, roześmiała się dziko, przypominając sobie, jak w ostatniej chwili pakowała róż i cienie do powiek.

Wiedziała, że ma zaledwie parę sekund na przygotowanie się do tej ciężkiej przeprawy.

— Żegnaj, Alabamo Smith — powiedziała łagodnie, gdy dziób łodzi uniósł się w górę przed ostatecznym upadkiem w kipiel.

Jej umysł przestał pracować. Poczuli się, jakby została zatrzymana w czasie. Gdy spadała wraz z łodzią, miała wrażenie całkowitej utraty ciężaru. Początkowo chciała trzymać się burt łodzi, lecz w ostatnim momencie instynkt podpowiedział jej, że należy wyskoczyć, aby móc, mimo wszystko, dopłynąć do brzegu.

Nadludzkim wysiłkiem wydostała się z łodzi. Spadając uderzyła ciałem o ukryte skały. Straciła przytomność i płynęła dalej, niesiona prądem rzeki.

Ostatnią jej myślą, nim pochłoneły ją kipiele, było to, że nigdy nie zobaczy już Jeda Smitha.

Tego wieczora Garcia wszedł cicho do obozowiska. Jane siedziała bez ruchu, gapiąc się w wodę. Wyjął butelkę tequilli, nalał trochę do szklanki i bez słowa podał ją dziewczynie. Odsunęła szklankę, wyrwała mu butelkę i pociągnęła trzy duże łyki. Garcia chciał odebrać jej alkohol, ale ona nie pozwoliła. Postawiła butelkę na ziemi, między stopami, i patrzyła na wodospad.

Sądziła, że upadła z trzydziestu metrów. Myliła się jednak. Wodospad miał na pewno ponad sto metrów, a kocioł, do którego wpadła, jakieś dziesięć metrów głębokości — to ocaliło jej życie.

Roztrzaskana na pół łódź stała się teraz schronieniem dla kapibary, która wylegiwała się spokojnie na brzegu, z zadowoleniem pożerając resztki jedzenia z obozowej kuchni.

— Jesteś szaloną kobietą — powiedział Jed, klękając przy niej i masując jej plecy.

— Ojala por Dios — wtrącił Garcia. — To mi coś przypomina. To dobry znak, amigo. — Klepnął go po ramieniu.

Jane potrząsała głową.

— Skąd niby miałam wiedzieć, że powinnam wysiąść z łodzi i obejść tę część rzeki?

— Właśnie dlatego zabraliśmy Garcie — odpowiedział Jed.

— Znam tę rzekę jak własny dom — tłumaczył Garcia. — Ona potrafi być bardzo zdradliwa.

— Ona? Żadna kobieta nie zrobiłaby czegoś takiego innej kobiecie!  
Według mnie, Ucayali jest rodzaju męskiego. To jest on — uparty,  
okrutny, bezmyślny egoista, głupi, godny pożałowania...

— Spokojnie, nerwy cię ponoszą — odezwał się Jed.

— Są tu jeszcze wodospady takie jak ten? — westchnęła.

— Wystarczająco dużo, żebyś zwariowała ze strachu —  
odpowiedział Garcia. — To nie jest miejsce dla samotnej kobiety. Zresztą,  
dla mężczyzny też nie. Nawet ja miałbym kłopoty, dźwigając samotnie  
przez dżunglę łódź, ważącą pięćdziesiąt kilogramów i do tego  
trzydziestokilogramowy plecak.

Spojrzała na resztki, które pozostały z jej łodzi.

— Teraz płyniemy razem?

— Nie będzie to łatwe, ale jakoś sobie poradzimy.

Pociągnęła jeszcze łyk tequilli.

— No, może już wystarczy — powiedział Jed. — Jeszcze trochę i  
będzie ci się kręcić w głowie szybciej, niż płynie ta rzeka.

Spojrzała na niego z politowaniem i wypła kolejny łyk. Miał rację.  
Poczuła się tak, jakby tequilla nie dotarła w ogóle do żołądka, a znalazła  
sobie ujście do głowy.

Jed zauważył, że się zachwiała, więc chwycił ją mocno w ramiona.

— Dosyć już — powiedział stanowczo, starając się wyrwać jej  
butelkę z dłoni.

Jednak Jane była uparta. Po paru chwilach szamotania postanowił  
dać jej spokój.



— To jest twój koniec, moja pani. — Usiadł obok niej i zaczął wpatrywać się w wodospad. — Jak się czułaś tam, w tym kotle? — zapytał po chwili.

— Jak we śnie. — Na jej twarzy zamajaczył dziwny uśmiech.

— We śnie? — Skrzywił się. — Może masz na myśli senny koszmar?

— Bez przesady... — mruzczała. W miarę, jak tequilla robiła swoje, Jane zaczynała mówić coraz mniej wyraźnie.

— Nie jestem pewien, czy jesteś taka odważna, czy też za głupia, żeby w ogóle pojąć, co się stało.

— Jestem podróżniczką — oświadczyła, unosząc butelkę do góry. — Jak Daniel Boone.

— Raczej, jak Calamity Jane — poprawił ją. — Tak czy inaczej, na zdrowy rozum, powinnaś już nie żyć.

— A ciebie trzeba powiesić za to, co mi zrobiłeś. Jak mogłeś mnie zostawić? — odparowała.

Wstała, aby wygłosić to, co miała do powiedzenia, ale nie mogła wydobyć z siebie ani słowa. Niebezpiecznie się zatoczyła, omal nie spadając z kamiennego brzegu prosto do wody. Jed złapał ją zwinnie i położył, opierając jej głowę na swoich kolanach.

— Ooooch — mamrotała. — Puść mnie.

— Spokojnie — mówił. — Napisałem tamten list, mając na względzie jedynie twoje dobro.

— Chyba swoje dobro. Chcesz mieć ten skarb tylko dla siebie.

— Znowu do tego wracamy — jęknął. — Chyba zdajesz sobie sprawę z tego, że ta mapa to oszustwo.

Usłyszeli głośny śmiech Garcii.

— Ach, Jed — westchnął i spojrział na dziewczynę tak, jakby chciał jej powiedzieć coś ważnego. — Cztery lata temu Jed wynajął mnie, żebym poprowadził go wzdłuż tej rzeki — zaczął. — Powiedział, że potrzebny mu jest odpoczynek od cywilizacji, czy coś tam takiego. Na początku podróży to ja byłem przewodnikiem. — Spojrział na Jeda i klepnął go przyjacielsko w policzek. — Gdzieś w połowie drogi on zaczął wybierać i decydować, którą trasą powinniśmy iść i ostatecznie to ja podążałem za nim, a nie odwrotnie.

Garcia wyjął butelkę z rąk Jane i pociągnął łyk tequilli, po czym kontynuował.

— Tu mamy wyraźny trop — zaczął naśladować głos i mimikę Jeda. — Nie, nie. Sądzę, że lepiej pójść tamtą drogą. A teraz najlepiej iść tędy. — Wczuł się w rolę tak bardzo, że zakończył zdanie z całkiem poprawnym amerykańskim akcentem.

Jane zaczęła chichotać, ale on zmienił nagle ton na poważny.

— Nikt nie przedziera się prawie sto kilometrów przez dżunglę tylko dla przyjemności. Wiedziałem, że czegoś szuka. Wiesz, co zrobiłem?

Potrząsała głową jak w transie.

Jed przerwał mu. Wprawdzie słuchał tej opowieści z przyjemnością, ale wstrząsnął nim dreszcz zgrozy na samo wspomnienie.

— Garcia wytłumaczył mi, że jeżeli nie podzielę się z nim informacjami, porzuci mnie tam, w środku dżungli.

— Szukałeś złota, prawda? — Wycelował w niego oskarżająco palec.

— Hmm... byłem tu na praktyce uniwersyteckiej — tłumaczył się. —  
Wszystko to była jedynie teoria.

— Miałeś mapę — przypomniał Garcia. — Okłamałeś mnie.  
Szukałeś grobowca — mówił teatralnym głosem. — Grobowca pełnego  
skarbów.

Nagle Jane przypomniała coś sobie.

— Chyba nie mówicie o tym sławnym grobie inkaskiego  
wojownika?

Jed skinął potakująco głową.

— Tak, ten grób uznano za jedno z największych odkryć w całym  
Peru — przyznał.

— To ja pierwszy go znalazłem! — oświadczył dumnie Garcia. —  
Sam, zupełnie sam, bo jego musiałem porzucić w dżungli.

— Zgadza się — roześmiał się Jed. — Jesteś człowiekiem  
odpowiedzialnym za słowa. — Klepnął go po plecach, po czym wyjaśniał  
dalej. — Mój wspaniały przewodnik pozwolił mi wędrować trzy dni po  
dżungli bez kompasu, gdy tymczasem sam poszedł szukać grobowca.

— Nie, to nie było tak — wtrącił Garcia. — To prawda, zostawiłem  
cię, ale nie dlatego, że chciałem zabrać skarb. Po prostu niechcący  
potknąłem się o ten grobowiec.

— Czy to znaczy, że... — Jane aż otworzyła usta z niedowierzania.

— Największe znalezisko archeologiczne w Ameryce Południowej  
dokonane zostało przypadkowo przez skromnego przewodnika —  
stwierdził Jed, wskazując ręką na Garcia.

— Teraz ja — powiedział przewodnik, wyciągając dłoń po tequillę.  
— Tak więc, mój uczonego przyjacielu, raz mnie oszukałeś, miałeś prawo.

Jednak drugi raz ci się nie uda. Jesteśmy trójką wspólników i mamy równe prawa w tej przygodzie.

— W każdym razie, spłaciłem ten piękny domek, w którym teraz mieszkasz, mój drogi.

— O tak. — Przewodnik uśmiechnął się, a jego ciemne oczy rozbłysły. — Jest znacznie wygodniejszy niż ta rudera, którą zaproponowałeś mi na wstępie. Tak, nie narzekam, to był bardzo dobry interes, a teraz szykuje się jeszcze lepszy. Jak znajdziemy skarb, urządzę sobie wycieczkę dookoła świata.

— Tym razem nie ma żadnego skarbu — powtarzał uparcie Jed. — Mówię to wam po raz ostatni.

Jane i Garcia wymienili znaczące spojrzenia i zaczęli się śmiać.

— No, to jeszcze zobaczymy — powiedział przewodnik. — W każdym razie, rano ruszamy w dalszą drogę. Pierwszy postój mamy na terenach Indian Mescaliti. Są prymitywni, lecz całkiem przyjaźni, przynajmniej do czasu, gdy daje im się to, czego chcą.

— A jeżeli nie masz tego, czego chcą? — spytała niepewnie.

— Zabiją cię. — Przewodnik wzruszył ramionami, spojrzał na nią, ziewnął szeroko i odszedł, uśmiechając się pod nosem.

Po chwili jedynymi odgłosami był huk wodospadu i bicie jej serca.

Zamyśliła się na moment, starając przypomnieć sobie wszystkie dawne fantazje. Żadne wyobrażenie nie mogło równać się temu, co już przeżyła, a był to dopiero początek podróży.

— Wcale się nie gniewam — powiedziała łagodnie, spoglądając na Jeda.

— Wiem. — Westchnął. — Spełniają się twoje marzenia, prawda?

Uśmiechnęła się, po raz kolejny zaskoczona tym, że z taką łatwością czytał w jej myślach.

— Ach, ale to, doprawdy, niewiele ma wspólnego z tym, co sobie wyobrażałam, że ty jesteś kimś, kogo nie mogłam sobie wymarzyć. — Poczula na sobie jego uważny wzrok.

Zamilkła, nie wiedząc, co powiedzieć. Spróbowała zmienić temat.

— Ciekawa jestem, o czym ty marzysz, Jed? — Uśmiechnęła się do siebie. — Założę się, że śnią ci się niezwykle odkrycia archeologiczne, które pozwoliłyby ci łączyć świat akademicki z podróżowaniem.

— Nie trafiłaś. — Potrząsnął głową. — Myślę raczej o „Waltonach”

— To na pewno ta zaginiona gałąź peruwiańskiej dynastii!

— Co? — Zaczął się śmiać. — Ależ, skąd! To jest taki serial w telewizji.

Zmarszczyła brwi przekonana, że kpi sobie z niej.

— No wiesz! Ani trochę nie przypominasz człowieka, którego mogłyby zająć losy Johna Boya i jego kumpli, powracających na farmę.

— Naprawdę? — Jed spojrzał na rzekę. — No dobrze, może nie myślę o farmie, ale na pewno o jakimś wygodnym domu, na przykład w Ann Arbor.

— Zgoda. Teraz chcę jednak słuchać o twoich przygodach — nalegała. — O zaginionych grobowcach i skarbach.

— Ale co?

— No, przecież nie możesz... — Głos ugrzązł jej gdzieś w gardle.

— Właściwie, moim jedynym pragnieniem jest osiąść gdzieś na stałe. Te wszystkie wyprawy są zbyt niebezpieczne i ryzykowne. Ciągle gdzieś pędzę, a gdy przygoda się kończy, zwykle jestem rozczarowany.

— Wtedy musisz szybko wybrać się w następną podróż!

— Lecz nie jest to najlepsze rozwiązanie.

Spojrzała uważnie w jego ogorzałą twarz. Nastąpiła chwila ciszy, a jej serce zaczęło bić niepokojąco szybko.

— W takim razie, co jest dla ciebie odpowiednim wyjściem? — ośmieliła się zapytać ledwo słyszalnym w nocnej ciszy szeptem.

Wyciągnął dłoń i dotknął jej policzka tak delikatnie, że aż zadrżała.

— Pomóż mi to znaleźć, Jane — powiedział spokojnie.

Te ciche słowa wywołały w niej dreszcze. Oto ten nieposkromiony, niezwyciężony Jed Smith prosił ją, żeby pomogła mu spełnić jego najskrytsze pragnienia. Przez dłuższą chwilę wpatrywali się w siebie, oświetleni blaskiem dogasającego ogniska. Czekali na to, co nieuchronnie miało nastąpić.

Noc stawała się coraz chłodniejsza. Jane zatrzęsała się z zimna. Jed przytulił ją, a ona pochyliła się ku niemu z taką naturalnością, jak kwiaty chylą się ku słońcu. Ujął jej podbródek, spojrzał na nią i pocałował w usta.

Całowali się powoli, jakby próbując, czy to im smakuje. Jej wszystkie zmysły dostrajały się do Jeda i do ogarniającej ich nocy.

Narastała w niej świadomość, że ten mężczyzna, który wkroczył w jej życie, urealniamąc najskrytsze marzenia, zdradzał jej swoje pragnienia.

Oszłomiło ją to odkrycie. Gdy otworzyli oczy i spojrzeli na siebie bez tchu, wiedzieli już, że wszystko się zmieniło. Nie byli już wobec siebie tacy sami, jak przed tym pocałunkiem.

Dziewczyna zarzuciła mu ręce na szyję. Przyciągnął ją do siebie i namiętnie całował jej twarz i smukłą szyję.

— Chodź — wyszeptał, wstając nagle i pomagając jej podnieść się z ziemi. Podeszli do jego namiotu i wsunęli się prosto na rozłożony śpiwór. W namiocie było bardzo ciemno, co akurat odpowiadało Jane.

Drżała, czując, jak jego palce odpinają guziki bluzki. Odstłonił jej ramiona, potem piersi i biodra, a na koniec nogi. Całował każdą część jej ciała, w miarę, jak odkrywał je rękami.

— Cudowny — wymamrotał, całując jej brzuch. — Taki smukły, preżny i tak bardzo kobiecy.

Jane z nieznaną sobie odwagą zaczęła rozpinać jego koszulę. Pozwolił, aby rozebrała go do końca. Czowała się pewniej, gdy usłyszała westchnienie pod wpływem jej pieszczot. Gładziła jego ramiona, plecy, smukły brzuch i sprężyste biodra.

Gdy jej ręka przesunęła się poniżej bioder, usłyszała pomruk zadowolenia.

— Jesteś kochana — wyszeptał, gdy rozkoszowała się jego wdziękami.

Odwrócił się i położył na niej, a jego ręce władczo zagarnęły jej niewielkie piersi. Jane wygięła instynktownie biodra i ich ciała połączyły się powoli. Z początku zaledwie się poruszali, smakując przyjemną rozkosz. Później zmienili rytm, oddając się pożądaniu.

Stała się kobietą, i to kobietą Jeda.

Szczyt rozkoszy dał jej poczucie jedności z Jedem i z całym otaczającym żywiołem. Była oczarowana tą chwilą.

— Jane! — krzyknął, przytulając ją mocno. Wracali bardzo powoli, szepcząc słowa czułości.

Jane otworzyła oczy i wiedziała, że stała się prawdziwą kobietą. Nigdy przedtem nie była w ramionach mężczyzny tak rozbudzona, tak żywa.

On posiadał ją jak nikt inny przedtem. Spowodował, że czuła pożądanie i dał jej przeżyć coś, czego wcześniej nie знаła.

Uśmiechnęła się na myśl o niespodziankach, które czekały na nią w tej podróży. Wiedziała, że razem przekroczyli cudowną granicę rozkoszy.

— Możesz jeszcze zawrócić — powiedział Jed, wiosłując powoli. Klęczał w łodzi, ubrany w szorty i podkoszulkę, tak że doskonale widać było jego umięśnione ciało.

Garcia siedział na rufie. Jane położyła się, opierając głowę o plecaki. Nie chciała pozwolić, aby ta uwaga zniszczyła spokój poranka, toteż nic nie odpowiedziała. Łódź płynęła gładko po wodzie. Gdzieś przed nimi czaiło się coś nieznanego, niebezpiecznego i ekscytującego — nie wspominając o namiętnych nocach.

Uśmiechnęła się, wspominając minę Garcii, gdy wczesnym rankiem wychodziła z namiotu Jeda. W pierwszej chwili nic nie powiedział, chcąc zorientować się w sytuacji, a po namyśle odezwał się:

— Powinienem zabrać o jeden namiot mniej. Przez cały poranek Jed był cudownie troskliwy.

Głaskał ją i przytulał, a po śniadaniu pomagał pakować rzeczy. Później, gdy załadowali łódź, poszli nad wodospad, gdzie zaskoczył ją aparatem fotograficznym. Ustawił ją przy roztrzaskanej łodzi i zrobił zdjęcie. „Tę fotografię chciałabym pokazać wnukom” — pomyślała, przewracając się na drugi bok. Spojrzała do góry na gałęzie drzew, które



mijali. Woda uderzała lekko o burty. Jane podłożyła dłonie pod głowę i westchnęła z radości.

— Jeszcze możesz zawrócić — powtórzył Jed.

— Z twojego życia? — Mimo wszystko podjęła rozmowę.

— Nie mówiłem do ciebie. Garcia roześmiał się.

— To mi się właśnie w tobie podoba. Masz niezwykle poczucie humoru.

Jed odwrócił się i wyszczerzył zęby w szyderczym uśmiechu.

— Tak, w ogóle jestem niezłym żartownisiem.

— Ach tak? — wtrąciła Jane.

— Odziedziczyłem to. — Roześmiał się, wracając do wiosłowania.

— To u nas rodzinne.

— Rozumiem, że mam to traktować jako ostrzeżenie?

— Ostrzegałem cię już wcześniej, ale nie chciałaś słuchać. —

Wzruszył ramionami.

Jane wyciągnęła rękę i zanurzyła ją w wodzie, chcąc sprawdzić temperaturę. Nagle Garcia uniósł swoim wiosłem jej rękę i pchnął ją z powrotem do łodzi. Odwróciła się, spoglądając na niego pytająco.

— Nigdy nie wkładaj dłoni do wody, zanim nie zapytasz, czy wolno — powiedział.

— Piranie? — przestraszyła się.

Pokazał na brzeg, gdzie wylegiwało się w słońcu ponad dwadzieścia krokodyli. Gdy dwa z nich, a za chwilę jeszcze jeden, rzuciły się do rzeki, Jane aż skuliła się, patrząc na swoją drobną dłoń.

— Jeszcze nie są takie ogromne, te zimnokrwiste diabły — powiedział Garcia. — Atakują wszystko, co jest nieco cieplejsze od nich.

— Coś jeszcze powinnam wiedzieć? — zapytała drżącym głosem.

— Opowiedz jej coś normalnego — proponował Jed. — Powiedz, dlaczego powinna być ostrożna, gdy będzie szła po wilgotnych kwiatach w dżungli, a jej stopy zapadać się będą aż po kostki w mule.

— Może jednak nie. — Garcia wzdrygnął się. — Prawdę mówiąc, chciałbym mieć pewność, że nie będziemy przechodzili przez taki teren.

— No dobrze, więc opowiedz o piraniach.

— A dlaczego sam nie opowiesz? — Nie zamierzała dać się zastraszyć.

— Nie może — roześmiał się Garcia — w życiu żadnej nie widział, chociaż mógł. Wszyscy mogliśmy. Nie gwarantuję, że w tej rzece ich nie ma. Kiedyś straciłem przez niejednego z moich ludzi. Wpłyniemy do ich królestwa, to wszyscy będziemy trzymali ręce z dala od wody.

— Póki co, martwmy się tym, że wpływamy na tereny Indian Mescalti — stwierdził Jed.

— Teraz ja będę prowadził — rzekł Garcia. — Ty pilnuj rzeczy. Gdy tylko odwrócisz się tyłem do tych szybkorekich elfów, oskubią cię szybciej niż piranie.

— Żaden nawet nie dotknie naszego sprzętu. — Jed zbagatelizował ostrzeżenie. — Co im do tego?

— Zobaczmy — ciągnął Garcia. — W każdym razie, nie chcę potem słyszeć, że cokolwiek zginęło. Mimo wszystko ja poprowadzę. Mam dobre oczy. Poza tym, uważaj na łódź — nalegał przewodnik.

— Nic się nie martw — wtrąciła Jane. — Mam na niego oko. Jed uśmiechnął się.

— I dłonie, i ręce, i usta... — Wyciągnął rękę do tyłu, aby jej dotknąć.

— Straszne — wtrącił Garcia. — Tylko tego mi brakowało w tej wyprawie. Czy macie zamiar wziąć ślub? Mogę go wam udzielić, tylko że będzie to drożej kosztowało.

— Ślub? Tu, w dżungli? — Był wyraźnie zaskoczony. — Właściwie, czemu nie?

Jane zachichotała. Nie chciała, aby Jed myślał, że chce się z nim wiązać. Przynajmniej nie teraz. Jeszcze sama nie była pewna, a nie był to najlepszy czas ani miejsce na przemyślenia.

— A fanfary? — zapytała.

— Nie ma problemu, Mescalti mogą zapewnić wszelkie atrakcje. Nawet szybkie danie za pięćdziesiąt pesos lub królewską ucztę za sto.

Roześmiali się wszyscy.

Opadła ich chmara małych, dokuczliwych insektów, a na horyzoncie pojawiały się wciąż nowe.

— Z pewnością jest tu w okolicy mnóstwo moskitów. — Jane starała się mówić spokojnie.

— A tak — potwierdził Jed, klepiąc się po twarzy i próbując opędzić się od owadów. Obejrzał się, spoglądając na dziewczynę. — Widziałem stada moskitów tak wielkie, że przysłaniały słońce. — Uśmiechnął się. — Mogą doprowadzić człowieka do szału. Potrafią nawet zmusić stado zwierząt do bezładnej ucieczki we wszystkich kierunkach.

Jane wzdrygnęła się, widząc kolejne owady, kręcące się tuż przy jej twarzy. Odganiała je, jak tylko mogła. Spojrzała błagalnie na Garcia.

— Mam nadzieję, że ten mały rój wokół mojej twarzy nie jest patrolem zwiadowczym? — Czekwała na odpowiedź, lecz przewodnik nie słuchał. Wsłuchiwał się w jakieś tajemnicze odgłosy.

— Wiecie co? — powiedział w skupieniu. — Zaraz zobaczymy niezłe stado.

— Och, nie. Nie sędzę — powiedział Jed ponuro. — Ale jeżeli masz rację, to może wskoczmy do rzeki?

— Nigdy! — wrzasnął Garcia. — Za dużo tu krokodyli.

— Siatki na moskity! — Jed próbował jedną ręką wyciągnąć je z bagażu. — Natychmiast!

Jane otworzyła plecak i wyjęła trzy siatki.

— Podwiń ją pod kołnierz — doradził, pomagając jej.

Jed założył swoją siatkę w ostatniej chwili. Dziewczyna spojrzała do góry i prawie zamarła ze strachu.

— O mój Boże! To niemożliwe.

Niczym szybko poruszająca się chmura, spadły na nich miliony moskitów. Jane, spoglądając przez oczka siatki przesłaniającej twarz, trzęsła się ze strachu. Jasny blask słońca zasłoniła ciemna chmura. Insekty tańczyły po jej nagich dłoniach, łaskocząc niemiłosiernie i gryząc co jakiś czas.

— Auu! — wykrzyknęła, chcąc odruchowo zanurzyć rękę w wodzie. Jednak natychmiast przypomniała sobie, że nie może tego zrobić.

— Owiń ręce tym — powiedział Jed, podając jej kawałek płótna.

— Wiosłuj, amigo! — krzyknął Garcia. — Może jakoś wyminiemy te piekielne owady. Szybciej!

Łódź płynęła, ale Moskity nie znikwały. Czuli się jak w środku olbrzymiego tornado.

— Nic ich nie powstrzyma! — krzyczał Garcia.

— No, chyba że burza! — odkrzyknął Jed.

— Zaraz oszaleję! Jeszcze trochę i skorzystam z towarzystwa krokodyli — krzyczał jeden z nich, machając wiosłem.

Chmara moskitów była wciąż za nimi.

— Co je tak do nas przyciąga?

— Prawdopodobnie ty, Jane — odpowiedział Amerykanin, siląc się na dowcip. — Przyciągają je żeńskie hormony.

Wiedziała, że nie mówił serio. Mówił cokolwiek, żeby tylko odwrócić uwagę od otaczającego ich szaleństwa. Machali bezustannie rękami, starając się choć na moment, oczyścić pole widzenia.

— Zapłacisz za takie przypuszczenie — powiedziała. — Poza tym, muszę ci wyjaśnić naukowe fakty... — Nagle stwierdziła coś tak oczywistego, że nie mogła uwierzyć. Przestała machać rękami i sięgnęła do plecaka.

— Czego tam szukasz? — krzyknął Jed, szaleńczo wiosłując.

Nie odpowiedziała. Wyjęła z bocznej kieszeni metalowy pojemnik.

— Przestańcie wiosłować! — zawołała. Nie zwrócili nawet uwagi.

— Natychmiast przestańcie wiosłować! Garcia, który siedział na rufie, pierwszy zorientował się, w czym rzecz.

— Przestań, Jed! — Ustawił wiosło tak, aby jak najszybciej wyhamować łódź.

Podczas gdy mężczyźni machali rękami, Jane ściągnęła zakrętkę z wysokiego pojemnika ze sprayem i zaczęła psikać we wszystkich kierunkach.

RS

## *Rozdział siódmy*

Efekt był natychmiastowy, cały rój moskitów zniknął. Jed wciąż machał rękami, nie zważając na to, co dzieje się za jego plecami. Zaś Garcia, widząc, jak Moskity znikają, zaczął się śmiać.

— Możesz przestać machać łapami jak idiota — oświadczył.

W krótkim czasie pozostało jedynie kilka ociągających się moskitów. Jed obejrzał się i zobaczył ostatnie, niezgrabnie podrygujące owady, a potem spojrział w dół, na dno łodzi, które wypełniały setki moskitów. Wszystkie były martwe.

— Kosztował dolara i sześćdziesiąt dziewięć centów, ale wart był swojej ceny — powiedziała Jane, unosząc pojemnik z trutką na owady.

Przewodnik spojrział na nią z podziwem i potrząsnął głową.

— Najpierw przepłynęła śmiertelnie niebezpieczny wodospad, a teraz uratowała nas przed krwiożerczą hordą moskitów. Mówię ci, ona przynosi nam szczęście. Teraz już nie mam wątpliwości, że znajdziemy ten skarb.

Jed zajął się zdejmowaniem siatki i zerknął na Jane, która ciągle była nią szczelnie owinięta. Specjalnie chwilę odczekał, aby nie mogła dostrzec jego ironicznego uśmiechu.

— Och, doprawdy? Jakim cudem? — powiedziała urażona. — Ta siatka przecież skutecznie zakrywa mi twarz.

— No wiesz, łatwo można wyczuć twoją zuchwałość. Unosi się w powietrzu, podobnie jak nasi ostatni goście.

— Co za wdzięczność! Wystarczyłoby mi zwykłe „dziękuję”.

Była dumna, że obaj mężczyźni zaczęli traktować ją z respektem. Czuła, że nie będzie już więcej złośliwych uwag o zawracaniu z drogi, kierowanych pod jej adresem. Była od tego momentu członkiem wyprawy, a nie jedynie tolerowanym gościem.

Jed chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie. Zerwał jej gwałtownie siatkę z twarzy i spojrzał głęboko w oczy.

— A to dla bibliotekarki, która właśnie ocaliła nam życie — powiedział łagodnie. Wpatrywał się w nią jeszcze przez ułamek sekundy, a potem pocałował namiętnie.

W to rozmarzenie wtrącił się Garcia.

— No tak. Widzę, że wszyscy doskonale się tutaj bawimy.

Jed ponownie ujął wiosło,

— Zaszliśmy daleko — powiedział po chwili przewodnik. —

Miejmy nadzieję, że szczęście nas nie opuści.

Jane wyczuła w jego głosie niepokój.

— A jest jakiś powód, dla którego miałyby nas opuścić?

Garcia potrząsnął przecząco głową i zanurzył wiosło w wodzie, aby wykonać parę płynnych ruchów i przyspieszyć.

Jane obserwowała go przez moment.

— Garcia?

— Hmm... ?

— Nasze szczęście... ?

— Tak?

Wzięła głęboki oddech.

— Dlaczego nie miałyby trwać?

Ponownie zapadła cisza. W końcu Garcia zdobył się na odpowiedź.



— Taka podróż... jak by to ująć... zmienia ludzi. To wszystko.

Obserwuję to za każdym razem. Potrafi wydobyć całe zło z człowieka.

— A co z dobrem? — zapytała, unosząc pojemnik z trutką na owady.

Uśmiechnął się tajemniczo.

— W porządku, dobro też — zgodził się. — Tylko... jakoś zło zawsze zwycięża, a złem jest to, że zewsząd otacza nas jedynie dżungla.

— No i chciwość — wtrącił się Jed. — Wy oboje, przykro mi to stwierdzić, ale macie wszelkie objawy „gorączki złota”.

— A to niewiniątko! — odezwała się Jane. — W takim razie, opowiedz coś o swoich przezręczystych intencjach.

— Jedynym powodem jest chęć powstrzymania profesora Schmidta, zanim biedak straci życie. On jest za stary na takie podróże. — Jed mówił zupełnie poważnie.

— Och, znowu o nim mówimy. — W głosie Garcii czuć było szyderstwo. — Pewnie. Gdyby nie było skarbu, nie straciłbyś swojej działki.

— Jest wiele skarbów do zagarnięcia w tej dżungli, ale nie martw się, nie będziesz chciał mojej części.

— No, to już czyste filozofie, Jed. Skończmy na tym, nie jestem w stanie prowadzić dyskusji z filozofem.

— Jest skarb czy go nie ma, jedno wiem, że nigdy w życiu nie przeżyłam takiej przygody. W ciągu zaledwie trzech krótkich dni przeniosłam się ze śmiertelnie nudnej biblioteki do tego raj.

— Raju? — Jed roześmiał się. — Sądysz, że te moskity zesłały nam niebios?

— Były zaledwie małą przeszkodą — wyjaśniła. — Jestem przekonana, że jeszcze będziemy mieli prawdziwe problemy.

— Masz rację, a nasz następny problem stoi od paru minut rzędem na brzegu — odezwał się Garcia.

Obserwowała uważnie brzeg rzeki, ale niczego niezwykłego nie dojrzała.

— Krokodyle? — próbowała zgadnąć.

— Nie, coś dużo sprytniejszego i bardziej niebezpiecznego. Mescalti.

— Nie widzę nikogo.

Jed spojrzał przenikliwie na przybrzeżne zarośla.

— Jest ich mniej więcej tuzin — powiedział.

— Trzy tuziny — poprawił go cicho Garcia. — Bardzo nie lubię widoku ich łuków.

Jane była zdumiona. Wyteęzała wzrok, żeby dojrzeć cokolwiek, choćby najlżejsze drzenie drzewa lub gałęzi.

— Jakim cudem ich widzicie?

— Lata praktyki — odpowiedział Garcia. — Teraz spokojnie wiosłujemy. Nie możemy ich zdenerwować. Mimo wszystko, to oni bardziej się nas boją.

— To muszą być nieźle przerażeni, bo ja nie mogę powstrzymać drżenia rąk, — Jane przełknęła głośno ślinę.

— Jeszcze dziesięć lat temu Mescalti nie widzieli cywilizowanego człowieka — tłumaczył Garcia. — A teraz cywilizacja wkracza bezlitośnie na ich tereny, niszcząc dżunglę i zanieczyszczając rzeki. Dawniej podróż do ich wioski trwała tydzień, teraz to zaledwie dwa dni jazdy.

— To chyba ciekawe — zobaczyć, jak przyjmują cywilizację?

Jane, od chwili, gdy dowiedziała się, że są obserwowani, mówiła przyciszonym głosem. Ciekawość brała u niej górę nad ostrożnością.

Przewodnik stuknął ją wiosłem po ramieniu, tak że woda spłynęła jej po plecach.

— Uważaj na siebie — ostrzegł ją. — Gdy dotrzemy do wioski, trzymaj się między mną a Jedem. Wyciągnij strzelby — krzyknął do niego — i przedmioty na sprzedaż. W moim plecaku są lusterka i cała paczka błyskotek.

— Sprzedajmy im ten wisiołek, który zawiesiłeś na drzwiach mojego mieszkania. — Jane nie mogła się powstrzymać od złości.

— Wspaniały pomysł! — Sięgnął do torby i wyciągnął tuzin medalionów. — Kupiłem je u Woolortha — wyjaśnił. — Dziewięćdziesiąt dziewięć centów sztuka, a wyglądają jak prawdziwe.

— A co się stanie, jak spadnie deszcz? — zapytała. — Mówiłeś, że zaczną wydzielać jakiś zapach.

Zanurzył jeden wisiołek w wodzie i, ku jej zdumieniu, zaczął myć nim rękę.

— Mydło! No wiesz!? Nie masz wstydu. Jak mogłeś tak mnie oszukać?

Ujął jej dłoń w błagalnym geście.

— Jak mogłaś być tak łatwowierna? Wybuchnęli śmiechem, lecz szybko musieli się opanować. Jakies sześć metrów od brzegu pojawił się Indianin Mescalti uzbrojony w dzidę i tarczę.

— No tak. Teraz to go widzę — powiedziała nerwowo.

— Teraz to jest ich ze trzydziestu — powiedział Jed.

— Sześćdziesięciu — poprawił go Garcia.

Jane wpatrywała się w tę jedyną postać, którą widziała. Indianin stał nieruchomo jak posąg.

— Jeden — powiedziała bezradnie. — Widzę tylko jednego. To wszystko. Samotny, łagodny człowiek z dzidą w ręku.

— Spójrz jeszcze raz — powiedział Jed. — Wyteż wzrok.

Nie musiała się długo wpatrywać. Nagle krzaki zaczęły się ruszać i jeden po drugim zaczęli wychodzić z nich tubylcy. Byli smukli, o miedzianym odcieniu skóry. Mieli na sobie jedynie fantastyczne bransolety z ptasich piór, przymocowane wokół kostek u nóg, i przepaski na biodrach. Ich długie, błyszczące włosy opadały im na ramiona. Wielu nosiło złote kolczyki w uszach. Wszyscy, co było widać gołym okiem, byli w znakomitej kondycji fizycznej. Gapiła się na nich. Wyglądali wspaniale.

— Do wioski jest jeszcze piętnaście kilometrów — powiedział Garcia. — Będą nam towarzyszyć przez całą drogę.

Następne dwie godziny Jane poświęciła na obserwację brzegu rzeki, po którym szli niestrudzeni Mescalti. Nie czuła już strachu.

Garcia miał rację. Jej życie nie mogło powrócić do tego, czym było jeszcze dwa dni temu.

Minęli zakręt i nagle ujrzeli wioskę Mescalti. Była to grupa schludnych, krytych słomą chat. Pośrodku wioski stało około pięćdziesięciu Indian.

Pierwszy odezwał się Garcia.

— Zachowujcie się bardzo spokojnie i trzymajcie się mnie. Cały handel radzę przeprowadzić w pobliżu łodzi. Cokolwiek się stanie, ktoś musi pilnować rzeczy. I uważajcie na dzidy. Możecie się ruszyć dopiero wtedy, gdy zaczną je opuszczać.

Jed wyjął strzelbę i naładował ją.

— Jestem gotowy.

Garcia sprawdził rewolwer i przeżegnał się. Obserwowała ich obu, a serce zaczęło jej bić gwałtowniej. Dotknęła nerwowo ramienia Jeda.

— Może... i ja powinnam mieć rewolwer? Garcia spojrział surowo na Jeda.

— Jak mogłeś dopuścić, żeby była nieuzbrojona?

— Sięgnął do swojego bagażu i wyciągnął maczetę. — Masz, trzymaj — powiedział. — Gdyby któryś z Mescalti próbował coś ci zrobić, odetnij mu rękę.

— Niczego takiego nie mogłabym zrobić — powiedziała, oddając maczetę z taką miną, jakby trzymała zdechłego szczura za ogon.

Zauważyła, że Jed zaśmiał się ironicznie.

— Co w tym takiego śmiesznego?

— Nie, nic. — Spowaźniał, ale tylko na chwilę. Dostrzegła błysk w jego oku i odwróciła się, aby zobaczyć minę Garcii. Przewodnik ani drgnął.

— Przysięgłabym, że coś knujecie — powiedziała, oczekując kolejnego dowcipu Jeda.

— Nawet gdyby tak było, to i tak musielibyśmy z tym poczekać — odpowiedział surowo Garcia, prowadząc łódź ostro w stronę brzegu.

Jane starała się wyglądać jak najspokojniej i najłagodniej. Na brzegu oczekiwało ich pięciuset Indian.

— Wyglądają całkiem przyjaźnie — odważyła się odezwać, patrząc, jak Indianie pomagają Garcii i wyciągnąć łódź na brzeg.

— Ola — krzyknął do nich, unosząc ręce w geście powitania.

Jeden z tubylców rzucił się prosto do ich plecaków. Garcia uderzył go mocno w rękę i szybko coś powiedział w narzeczu Mescalti.

Jane cały czas trzymała się z tyłu, obserwując i zastanawiając się, co się teraz wydarzy.

Przewodnik stanął na brzegu, odepchnął kilku tubylców na bok bez żadnego szacunku. Przeszedł przez zgromadzony tłum i skierował się do największej chały, stojącej w centrum wioski. Wszyscy Indianie podążyli za nim.

Jane obserwowała to w napięciu. Po chwili odwróciła się do Jeda i zobaczyła, że właśnie zamierza wyjść z łodzi.

— Dokąd idziesz?

— Muszę się temu przyjrzeć. — Wskazał na drewniany, rzeźbiony posąg, stojący przy chacie, do której wszedł Garcia. — To mi wygląda na kulturę Inków.

— Czeka! Idę z tobą.

— Nie, nie! Zostaniesz tu i będziesz pilnować rzeczy.

Usiadła zrezygnowana, przypominając sobie ostrzeżenie Garcii. Jedyną korzyścią była chwila samotności i brak zainteresowania ze strony tubylców.

Jed poszedł ścieżką w kierunku rzeźby. Dopóki był w zasięgu jej głosu, czuła się bezpiecznie. Na dnie łodzi leżała długa maczeta. Wahala się przez moment, wzięła ją do ręki w nadziei, że broń pomoże jej poczuć się pewniej. Okazało się to jednak nieskuteczne, więc odłożyła maczetę z powrotem. Nagle spojrzała do góry, ujrzała pięciu przyglądających się jej tubylców. Przełknęła głośno ślinę.

— Cześć — podjęła rozmowę. — Jak się macie? Nie odpowiadali.

— Uch... czy któryś z was mówi po angielsku? Indianie nadal stali bez ruchu. Ich dzidy wycelowane były w niebo.

— No cóż, może mogłabym was czymś zainteresować... eeee... —  
Wstała gwałtownie i rozejrzała się wokół.

— Jed! — wykrzyknęła. Nigdzie nie było go widać.

— Jed?!

— Jed! — powtórzył jeden z Indian.

Jego towarzysze widocznie uznali, że jest to coś znaczącego, gdyż zaczęli wykonywać jakiś dziwny taniec.

— Jed! Jed! Jed!

Jane cofnęła się pół kroku i obserwowała zdumiona tę scenę.

— To śmieszne — wymamrotała, lecz oczywiście nie mogli jej zrozumieć.

Najważniejsze dla niej było to, że mimo wszystko nie bała się. Usiadła i spokojnie się im przyglądała. Pomyślała, że są niegroźni, gdy nagle jeden z nich sięgnął błyskawicznie do łodzi i porwał aparat fotograficzny. Oglądał go przez chwilę, po czym zaczął uciekać.

— Oddaj mi to natychmiast! —' krzyknęła, czując się dość głupio, zupełnie, jakby karciała kogoś w bibliotece.

W tym momencie dwóch Indian zaczęło szybko i głośno mówić. Była przekonana, że chcą ją wystraszyć. Przeraziło ją, że tak łatwo dała się okraść.

— Oddaj ten aparat, ty złodzieju! — ponownie krzyknęła za uciekającym Indianinem.

Tubylcy zaczęli potrząsać dzidami. Jane, zupełnie nie myśląc, chwyciła za maczetę. Na ten widok Indianie opuścili broń.

Wyskoczyła z łodzi i dogoniła złodzieja.

Indianin zatrzymał się zdziwiony. Przyjrzał się jej i jak gdyby nigdy nic zaczął oglądać aparat.

— Jeżeli go zniszczysz, odetnę ci rękę — powiedziała ostro, wiedząc, że wcale nie ma takiego zamiaru i że w ogóle nie ma to znaczenia, gdyż Indianin nie rozumie tego, co do niego mówi.

Jane zerknęła na łódź. Wszystkie rzeczy leżały nietknięte. Pomyślała przez chwilę, gdzie podziała się reszta Indian. Doszła do wniosku, że uciekli, lecz myliła się.

Nagle otoczyło ją kilkuset ludzi, a nie było wśród nich ani Garcii, ani Jeda.

— To straszne — powiedziała do siebie. Rozejrzała się po twarzach i zdała sobie sprawę, że Indianie są nią zainteresowani.

— Aaach!?! — odezwał się Indianin trzymający aparat. Pokiwał głową, jakby odkrył coś istotnego. Spojrzał na swych pobratymców, uśmiechnął się szeroko i powiedział coś zadowolony.

Nagle wszyscy wybuchnęli głośnym śmiechem.

— No dobrze, co w tym jest takiego zabawnego? Uśmiechnęła się nerwowo.

Indianin powiedział coś w swoim narzeczu.

— Ciągle nie wiem, o co ci chodzi.

Tubylec potrząsnął głową rozczarowany jej postawą.

Zrezygnowanym ruchem zdjął nasadkę z obiektywu i wycelował aparat prosto w dziewczynę.

— O, wspaniale! Mam nadzieję, że umiesz robić zdjęcia. Nie zapomnij o migawce... — Aż otworzyła usta ze zdziwienia widząc, że



Indianin robi wszystko, co trzeba. Wprawnymi ruchami ustawił przesłone i naciągnął migawkę. Wypowiedział parę słów, a całe plemię powtórzyło. Zrozumiała, że każą jej się uśmiechnąć. Czowała się głupio i śmiesznie, lecz zdecydowała, że będzie pozować do tego zdjęcia.

Indianin nacisnął spust migawki i, bez spoglądania na aparat, przewinał film o jedną klatkę.

— Doskonale, a teraz oddaj mi aparat. — Wyciągnęła rękę.

Nic nie wskazywało, żeby Indianin miał zamiar się poddać. Inni zachęcali go, aby zrobił następne zdjęcie. Rozzłościło ją to. Machnęła maczetą tuż nad głową Indianina, lecz zignorował to, zajęty ustawianiem przesłony. Tubylcy zaczęli rozmawiać między sobą, a Jane poczuła się nieswojo.

— Odrzuć broń. — Usłyszała znajomy głos.

To był Jed. Powitała go z ulgą, mimo że miał bardzo surową minę.

— Wreszcie jesteś! Tak się cieszę. — Chciała rzucić mu się na szyję, ale powstrzymała ją.

— Zwariowałaś?! Mogłaś kogoś zabić! — Wyrwał jej maczetę z ręki, co Indianie przyjęli z ulgą.

— Ach tak? — Zaczerwieniła się. — Nie musisz mnie tak zawstydząć przed wszystkimi.

— Zawstydząć? — Jed pokiwał głową. — My tu robimy co w naszej mocy, a ty chcesz najwyraźniej wszystko zepsuć!

— Powiedz tamtemu człowiekowi, że bardzo nam przykro, ale nie umiemy panować nad naszymi kobietami tak, jak to potrafią Indianie Mescalti — powiedział do Garcii, który właśnie wyszedł z chaty wodza.

— Co takiego? — oburzyła się, jednak Jed powstrzymał ją.

— No, idź, powiedz mu to.

Garcia rozmawiał kilka minut z człowiekiem w chacie, po czym wyszedł, aby wygłosić przemówienie przed tłumem. Osiągnął niezły efekt.

Jane była kompletnie upokorzona. Nie zamierzała dłużej tego tolerować. Podeszła do Indianina, który trzymał aparat i wyciągnęła rękę.

— Oddasz mi to natychmiast, albo... — Nie wypowiedziała tej groźby do końca, lecz ton jej głosu nie pozostawiał wątpliwości co do intencji.

Indianin zaniepokoił się. Zwrócił się do Garcii i wskazując z obawą na Jane, wymamrotał parę słów. Garcia wybuchnął śmiechem.

— Jestem taka zabawna?

— Raczej tak. — Garcia odwrócił się do Jeda. — Nie uwierzysz, ale wygląda na to, że nasz nowy przyjaciel obawia się jej.

— Mnie?

— Tak. Zastanawia się, czy twoje zachowanie wypływa z obawy o twoją duszę. Czy sądzisz, że robiąc ci zdjęcie, mógł ci ją ukraść?

— Co takiego? To najgłupsze, co mógł wymyślić!

— Możliwe, lecz w celu podtrzymania przyjaznych stosunków, przyznałem mu rację.

— Jak mogłeś! — Była wściekła.

— To jest jedyna droga, żeby odzyskać aparat — powiedział Jed, podchodząc do niej. — I najprostsza metoda na zrobienie im zdjęcia.

Nagle Indianin podał Jane aparat i klepiąc ją po plecach, mówił w swym ojczystym języku, a Garcia tłumaczył.

— On zapewnia cię, że twoja dusza jest nietknięta, a twoje obawy są nieuzasadnione. Tylko głupcy mogą sądzić, że ludzką duszę można złapać

w przyrząd wyprodukowany przez białego człowieka. Chce leż, żebyś przyjęła od niego naszyjnik, który ochroni cię przed złymi duchami.

Indianin zdjął naszyjnik z ptasich piór i rzeźbionych kawałków kości i włożył go na jej szyję. Rozpromienił się, a Jane starała się miło uśmiechnąć.

— Jestem wstrząśnięta — powiedziała, unosząc naszyjnik, aby przyjrzeć mu się dokładnie.

— Powiedziałem mu, że jesteś zachwycona i będziesz nosić ten naszyjnik przez całe życie i przekażesz go swoim dzieciom.

Jed spojrzał na dziewczynę. Jego oczy wyrażały głęboką radość.

— No, zarobiłaś sobie na tę biżuterię — powiedział, całując ją w policzek. — Jesteś bardzo dzielna, wiesz? Obserwowaliśmy cię przez cały czas. Zrobiłaś na nas wrażenie.

— Cały czas? No, to nieźle się bawiliście, patrząc, jak osacza mnie plemię dzikusów.

— Nie bądź głupia. Nie było niebezpieczeństwa. Radziłaś sobie znakomicie.

— No proszę, dobrze, że to mówisz, bo nie wiedziałam.

— To już wiesz. — Objął ją i głośno pocałował.

— Jed — pisnęła. — Proszę, nie przy tych wszystkich ludziach. Co oni sobie pomyślą?

— Pomyślą, że jesteś, mimo wszystko, normalna. To chyba dobrze, co? — Roześmiał się.

## *Rozdział ósmy*

— A teraz myślę, że jestem nienormalna? — oburzyła się.

— No, nie wiem. — Jedd skrzywił się złośliwie. — Po tej aferze z aparatem? W każdym razie, można ich przekonać, że jest inaczej. — Wziął ją za rękę i odprowadził na bok. — Dziś wieczorem Indianie wydają ucztę. Wybierzesz się ze mną?

— Jasne — odpowiedziała radośnie, poprawiając naszyjnik, który wydzielał dziwny, leśny zapach i drapał ją lekko w skórę. — Jak sądzisz, powinnam w nim wystąpić?

— O tak! — Uśmiechnął się. — Słyszałem, że obowiązywać będą stroje wieczorowe.

Objął ją ramieniem, a ona wtuliła się w niego, szczęśliwa, że znowu może być przy nim. Minęli grupę Indian, którzy szeptali z ożywieniem za ich plecami, kiwając głowami. Słyszając chichoty, Jane odwróciła się, a oni spojrzeli po sobie zawstydzeni.

— Dlaczego tak plotkują? — zapytała.

— Nie rozumieją, z jakiego powodu tak się oszpecasz. Mają na myśli twój makijaż, a zwłaszcza umalowane usta.

— Moja szminka mnie oszpeca?

— Ołówek do oczu i róż na policzkach także. Mówią, że to maska, za którą chcesz ukryć twarz.

— Zdawało mi się, że słyszałam, iż dotarła już do nich cywilizacja — roześmiała się Jane.

— W każdym razie nauczysz się od nich, jak zostać podróżnikiem z prawdziwego zdarzenia.

— Ja?

— A kto? Ta wyprawa jest twoją inicjacją. Założę się, że po tygodniu wędrówki przez dżunglę, po piętnaście kilometrów dziennie, zapomnisz, czym była dla ciebie cywilizacja.

— Bardzo wątpię.

— Zobaczymy. Taka podróż to nie wakacje w Miami Beach. To jest ciężka praca. Niebezpieczna i, jak zauważył Garcia, zmieniająca ludzi.

— A ja się zmieniłam w ciągu tych kilku dni? Spojrzał na nią i skinął głową.

— Nie widziałem jeszcze nikogo, kto przeszedłby tyle zmian w tak krótkim czasie. Mogę z ręką na sercu powiedzieć, że cię nie poznaję. Za każdym razem, gdy sędzę, że już jesteś sobą, przechodzisz kolejną metamorfozę. A nawet nie dotarliśmy jeszcze do dżungli.

— A jaka jestem teraz? — Jane była zafascynowana tym tematem. Usiadł na brzegu i podrzucił w rękę kilka kamyczków. Wielki, dziwny ptak zaskrzeczał, zataczając kręgi gdzieś ponad ich głowami. Jane stała tuż obok, oczekując odpowiedzi.

— Może najpierw powiem ci, jaka byłaś. — Odwrócił się i chwycił ją za rękę. Zanim się zorientowała, pociągnął ją, posadził sobie na kolanach i mocno przytulił.

Opadła ciężko, zakłopotana, ale nie zrobiła nic, żeby zmienić swoją pozycję. Po chwili przytuliła głowę do jego piersi i przymknęła oczy, dając się ponieść uczuciu błogości.

Kilkoro nagich dzieci skakało do wody nie opodal nich, a do zabawy przyłączyli się także dorośli. Jed obserwował ich, jak śmiali się i radośnie bawili.

— O czym myślisz? — zapytała Jane.

— O tym, jakie to wszystko jest wspaniałe. Ten dzień, to miejsce...

— Resztę tego zdania zamknął pocałunkiem.

Zaczął głaskać namiętnie jej ciało. Ogarnęło ją nagłe pożądanie, choć przeszkadzała jej obecność Indian.

— Może oni nie zwracają na to uwagi, ale ja tak — wyszeptała przeprasząco.

— Wciąż jesteś nieśmiała. — Spojrzał na nią i oparł pieszczotliwie dłonie na jej biodrach.

— Wciąż? — zapytała. — A mówiłeś, że się zmieniłam. Powiedz, proszę, jaka byłam przedtem, a jaka jestem teraz.

— Byłaś jak mumia pogrzebana w starej, zakurzonej krypcie — odpowiedział dramatycznym tonem.

— Tak, to prawda — zachichotała. — Jak ze starego filmu Borisa Karloffa. A ty przybyłeś i gdy tylko uniosłeś wieko trumny i pierwszy promień słońca dotknął mojej twarzy, ożyłam! Wyzwoliłeś mnie po dwóch tysiącach lat samotności.

— Mumia żyje! — krzyknął z udawanym przerażeniem.

— Tak, ale to nie wszystko. Zapomniałeś o klątwie.

— Klątwa? — zdziwił się. — Co masz na myśli?

— Klątwę faraonów. — Zaczęła naśladować Borisa Karloffa, używając rosyjskiego akcentu i przesadnych, teatralnych gestów. — Chcesz poznać tajemnicę?

— Oszczędź moje życie!

— Gdy wszedłeś do mojego grobu, będę cię już zawsze prześladować. Bez względu nas to, gdzie się ukryjesz.

— A jeżeli schowam się w toalecie Chrześcijańskiego Zrzeszenia Młodzieży Męskiej?

— Mumie nie znają fałszywej skromności. — Potrząsnęła głową. — Pójdę wszędzie i zrobię wszystko, *co* będę chciała.

— Wszystko? — Zastanowił się nad możliwościami sprawdzenia tego.

— Tak. Wszystko, wszędzie, w każdym miejscu i o każdej porze. Do usług.

— No dobrze, sprawdźmy to. Chodźmy pływać. Tu i teraz.

— Doskonale, z przyjemnością.

— Nago — dodał.

— Nago? — Spojrzała na niego z ukosa.

— Jak tubylcy.

— Tutaj, nago?

— Tak. Tu i teraz, razem z nimi.

— No, ja... ja... — zająknęła się.

— Co się stało z kobietą, która poszłaby wszędzie i zrobiłaby wszystko? — Uśmiechnął się ironicznie.

Jane wstała, rozglądając się wokół.

— To jest po prostu zbyt publiczne miejsce jak dla mnie.

— Taki tutaj panuje obyczaj. — Wskazał na nagich Indian, kąpiących się o kilkanaście metrów od nich. — Pływanie nago jest dla nich codziennością, nie zwrócą więc uwagi na to, że nowo przybyli rozbiórą się. Więc jak? — Zaczął rozpinać koszulę. — Chodźmy!

— Sama się o to prosiłam, prawda? — jęknęła, czując, że wpadła we własne sidła.

— Ja wskakuję do wody — oświadczył. — A ty, jeżeli chcesz się ugotować w tym upale, to proszę bardzo.

Odwróciła się i odeszła parę kroków. Indianie bawili się w rzece bez żadnych zahamowań. Byli naturalną częścią tego krajobrazu. Wyglądali jak ze zdjęcia w „National Geographic” Ona jednak nie mogła sobie wyobrazić siebie wśród tej radośnie pluskającej się grupy. Gdy zdała sobie sprawę, że Jed chciał wystawić ją na próbę, westchnęła i postanowiła się jej poddać. Tak, była w szponach nawyków zachodniej cywilizacji, jednak teraz zorientowała się, że chce to zmienić.

Do jej uszu dobiegł śmiech Jeda. Odwróciła się i ujrzała, że wszystkie jego rzeczy leżą już na brzegu. Widok jego silnego, opalonego na wspaniały złoty odcień ciała niemal zaparł jej dech w piersiach. Och, tak mi przykro... to znaczy...

Jed roześmiał się jeszcze głośniejszym pod wpływem jej zakłopotania.

— No? Ty hipokrytko! Wczoraj w nocy wszystko było w porządku, a w dziennym świetle... ?

— Tak, to była czarna noc i byliśmy w twoim namiocie. — Przekonywała samą siebie zrezygnowanym tonem, nie mogąc oderwać oczu od jego silnego, magnetycznie promieniującego ciała. Już samo patrzenie powodowało w niej pragnienie, aby go dotknąć.

— Tylko mi nie mów, że wciąż jesteś schludną bibliotekarką — szydził z niej.

Stał swobodnie, czarując swoją nagością. Nieznacznie rozstawił zgrabne nogi, a muskularne ręce oparł o biodra.

— Udowodniłaś, że tak już nie jest, przepływając wczoraj wodospad. — Podeszedł do niej powoli, a ona cofnęła się.



— Jed, proszę... — Wcale nie chciała tego mówić i oboje o tym wiedzieli. — Wiem, że to głupie, ale proszę, nie dotykaj mnie. — Jej głos był słaby, lecz zdesperowany.

Wiedziała, co by się stało, gdyby się zbliżył, i przestraszyła się. Pływanie nago to jedna rzecz, a zatracanie się w środku dzikiej dżungli to już zupełnie inna sprawa.

— Kiedy ja chcę ciebie dotknąć — powiedział łagodnie, odbierając jej ostatnią nadzieję. — Chcę nawet więcej. — Uśmiechnął się zmysłowo. Jane drgnęła.

Ku jej zaskoczeniu, odrzucił nagle głowę do tyłu i zaczął się serdecznie śmiać.

— Chcę zderzyć z ciebie wszystkie rzeczy i wrzucić cię do tej rzeki! Zaczął biec w jej kierunku, a ona podniosła gałąź i uniosła ją nad głową jak miecz.

— Uważaj! — wykrzyknęła dramatycznie.

— Jane, wyrzuć natychmiast ten badył!

— Aha! Czyżbyś nie lubił walczyć? — docięła mu, wymachując kawałkiem drewna jak buławą w czasie parady.

— Jane, proszę! Zobacz, co siedzi na końcu tej gałęzi!

— Niby dlaczego? — Zamarła.

— Dlatego, że mi wierzysz.

Opuściła powoli gałąź i przeraziła się, widząc, co zwisa z jej końca. Włochaty potwór o ośmiu włochatych nogach, z dwoma pazurami w miejscu otworu gębowego.

— Aaaaa! — wrzasnęła z całej siły, odrzucając gałąź, i wpadła w ramiona Jeda.

— No, już dobrze. — Objął ją i przytulił do swojego nagiego ciała.

— Co to było? — Przycisnęła twarz do jego piersi, cała się trzęsąc.

— Nieszkodliwa, maleńka tarantula.

— Nic, co jest tak obrzydliwe, nie może być nieszkodliwe —

powiedziała zupełnie nieświadoma faktu, że Jed zaczął spokojnie odpinać guziki jej bluzki. Powoli dochodziła do siebie. On w tym czasie zdołał już poradzić sobie z wszystkimi guzikami. Gdy rozchylił jej bluzkę, ujrzała, spoglądając w dół, swoje piersi, nabrzmiałe pod przezroczystym stanikiem, którego kolor został określony przez producenta jako „naturalny”.

— Tutaj — powiedział łagodnie — ludzie zajęci są swoimi sprawami. Gdy znajdziesz miejsce, w którym chcesz przebywać samotnie, wszyscy to respektują.

Jane ponownie zaczęła drzeć, tym razem nie ze strachu. Spojrzała na jego twarz, prowokującą do działania, wyrażającą mieszaninę uczuć, od uznania, przez pragnienie, aż do rozbawienia.

Zrobiła krok do tyłu i dalej rozbierała się już sama, obserwując przez cały czas Jeda. Zakłopotanie zniknęło, a w to miejsce pojawiło się nowe, wspaniałe uczucie. Po raz pierwszy w życiu mogła doświadczyć siły swojego kobiecego uroku. Jed był jej niewolnikiem, gdy tak powoli odkrywała przed nim każdą wypukłość zgrabnego ciała.

Odrzuciła na bok stanik i dumnie pokazała mu swoje małe piersi. Jej pewność wzrosła, gdy ujrzała, jak wyraz jego twarzy wyraźnie się zmienił.

Z jego strony nie było to tylko pragnienie. Myślał teraz, że jest bardzo piękna. Wiedziała o tym i wzmogło to w niej dreszcze emocji.

Wyczytała w jego oczach podziw i szacunek na równi z pożądaniem, nie mniejszym od tego, które rozpaliło jej zmysły.

W jednej chwili zniknęła cała nieśmiałość skromnej bibliotekarki. Poczowała się boginią. Nie było się czego wstydzić, wprost przeciwnie. Szybko zrzuciła z siebie resztę bielizny. Jej pożądanie rosło. Roześmiała się prawie na głos, podniecona myślą o tym, jak ogromna zaszła w niej zmiana.

Jed czekał cierpliwie, obserwując ją. Jego oczy jaśniały dziwnym blaskiem.

Jane wyczuwała, że on rozkoszuje się tą chwilą, podobnie jak i ona. Stała przed nim naga, potrząsnęła włosami tuż przy jego twarzy i zaśmiała się beztrąsko.

— Chodźmy popływać — powiedziała. Obdarzył ją pełnym podziwu uśmiechem. Pobiegł przodem, wskoczył do wody i zanurkował. Po chwili wynurzył się o parę metrów dalej.

— Jest ciepła, lecz orzeźwiająca — powiedział, strząsając krople wody z twarzy.

Nie tracąc czasu, zanurkowała tuż za nim. Śmiali się i chlapali jak dzieci. Pływali wokół dużej skały, zatrzymując się przy niej co jakiś czas, aby odpocząć.

— A jaka jestem teraz? — zapytała ponownie, odważna i gotowa do flirtu. — Miałeś mi powiedzieć, pamiętasz?

Odrzucił włosy do tyłu i spojrzał na nią.

— Jesteś jak nowo narodzona Wenus.

— Ach, więc zesłałam z obrazu Botticelliego!

— Właśnie tak. Twoja twarz jest niewinna, czysta i słodka, a twoje ciało... — powiedział poważnie, obejmując ją w pasie. — Twoje ciało jest jędrne, wyzwolone i dumne.

Jane nie musiała odpowiadać. Oczy jej błyszczały, gdy mówił dalej.

— A to jeszcze nie koniec. Już nie ma odwrotu, nie teraz.

— Nie koniec? Co masz na myśli? — Nie mogła złapać tchu.

— To trzeba odkryć — uśmiechnął się — to dopiero początek przygody. Wszystko może się zdarzyć. Ciągle jeszcze związana jesteś z przeszłością, ale ten tydzień może odmienić cię na zawsze.

— Taki jesteś tego pewien? — W jej głosie zabrzmiała nuta powątpiewania.

— Wierzę też, że i ja się zmienię. Mój instynkt nigdy mnie nie zawodzi.

Pływali przez moment w ciszy.

— Ten dzień jest zbyt piękny na tak poważne przemyślenia. — Jane odezwała się pierwsza. — Ścigajmy się do tamtej kłody!

Jed zgodził się i spojrzał w kierunku, który wskazywała, lecz uśmiech szybko znikł z jego twarzy.

— O nie! Co tam znowu? — zapytała, mierząc wzrokiem odległość od brzegu. — Krokodyl?

— Nie, to złamane drzewo. — Jed roześmiał się. — Chciałem tylko zyskać na czasie.

— Oszukałeś mnie! — wykrzyknęła, płynąc za nim. — Jak mogę ci zaufać, kiedy nie traktujesz mnie poważnie?

— Nieprawda! — powiedział to z taką siłą, że nie wątpiła w jego szczerłość.

Oczywiście ufała mu i napawała ją to radosnym podnieceniem. Obietnica wielkiego szczęścia zdawała się bujać na horyzoncie, niczym wielki balon. Spojrzeli na siebie i Jane drgnęła, oczekując na coś pięknego. Pod wpływem tego doznania jej twarz pojaśniała.

— Naprawdę się zmieniasz — powiedział cicho, patrząc na nią. — Mogę powiedzieć, że dzieje się to na moich oczach.

— Aż tak?

— Tak, ale nic więcej nie powiem, nie teraz. — W jego oczach błysnęła iskierka.

— To nie jest w porządku. — Poczowała się dotknięta do żywego.

Nie zamierzała robić z tego problemu, dzień był zbyt piękny. Zaczęła pryskać go wodą ze wszystkich stron, po czym zanurkowała tylko po to, żeby zejść go od tyłu i pieszczotliwie uszczypnąć w pośladek. Odpowiedział na to, popychając ją delikatnie w stronę skały, przy której się zatrzymali. Pocałował ją tak namiętnie, że aż się zaczerwieniła.

— Och, przestań! — wyszeptała, gdy nieco się odsunął, aby nabrać powietrza.

— Ani myślę. — Pocałował ją ponownie, tym razem pieszcząc jej kark.

Odczekał, aż mokre piersi uniosą się ku niemu, po czym zaczął je pieścić szczypiąc i drażnić ustami. Zamknęła oczy, poddając się znanemu, słodkiemu dreszczowi emocji.

— Jed, co robisz? — wyszeptała.

Jedyną odpowiedzią był pomruk zadowolenia. Jane poddała się fali namiętności. Zanurzyła dłonie w wodzie i odkryła, że był już przygotowany. Westchnęła głęboko i ujęła go w dłonie. Mężczyzna ciągle

pieścił jej piersi. Jego dłonie powędrowały wzdłuż ud dziewczyny i delikatnie je rozsunęły. Oparła się plecami o skałę i wypchnęła biodra do przodu, aby go przyjąć. Głowa jej opadła w niewysłowionej rozkoszy, gdy zagłębiał się w nią.

— Patrz na mnie.

Zrobiła, o co prosił, porażona pięknem i siłą bijącą z jego twarzy. Pozostali przez chwilę w bezruchu, uszczęśliwieni tym połączeniem, lecz wkrótce ulegli rytmowi pożądania.

Woda wokół nich pluskała rytmicznie aż do czasu, gdy wszystko zastygło w upojnej ciszy.

— To nie jest w porządku — wyszeptała. — Uwiodłeś mnie.

Zaśmiał się cicho.

— To było wzajemne uwiedzenie — zapewnił ją. — Uprzedzałem, że ta podróż cię odmieni.

Wyszli z wody i powoli się ubierali, niechętnie pozbawiając się ulotnego nastroju. Wziąwszy się za ręce, poszli w stronę kąpieliska Indian Mescalti.

— A wy gdzie się podziewaliście? — Usłyszeli znajomy głos Garcii, który szedł w ich kierunku, a wyraźne napięcie, widoczne na jego twarzy, wyrwało Jane z zadowolenia.

— Chodźmy — powiedział. — Osiągnąłem cel. Są gotowi pertraktować.

— Ile chcą? — zapytał Jed. — Pamiętaj, że przy sobie mam tylko tysiąc dolarów.

— Ja mam dwa, zresztą, nie martw się, są odpowiednio przygotowani. No, śpieszmy się. Chcą zadać ci jeszcze kilka pytań, zanim podadzą ostateczną cenę.

— O co właściwie się targujemy? — zapytała Jane.

— O przewodników. Mescalti wspaniale orientują się w lasach tropikalnych — wyjaśnił Jed. — Tak jakby mieli wewnętrzny kompas. Nie mówiąc już o umiejętności wyrąbywania drogi, bez względu na rodzaj i gęstość roślinności. Poza tym, poniosą część naszych rzeczy, będą podtrzymywać ogień w nocy, upolują nam coś do zjedzenia i będą nas ostrzegać przed niebezpieczeństwami.

— Powiedziałeś, że będą nieśli nasze rzeczy? — Jane rozpromieniła się.

Jednak gdy dotarli na miejsce, oczekiwania Jeda nie potwierdziły się.

Usiedli w trójkę w środku kręgu utworzonego przez około trzystu Indian. Po drugiej stronie, na wielkim wyplatany krześle, siedział wódz plemienia. Tuż obok wodza stał niski, muskularny młody mężczyzna, przystrojony wspaniałym naszyjnikiem i kolczykami. Trzymał w rękach pudełko, które, jak się zdawało, miało znaczenie rytualne. Skrzynka niewątpliwie coś w sobie kryła. Była szczelnie zamknięta na klucz. Jane zaskoczona była widokiem zegarka na ręce Indianina.

— Mamy problem — odezwał się Garcia. — Wygląda na to, że od ostatniej wizyty ceny znacznie wzrosły.

Wódz powiedział coś, na co przewodnik odpowiedział i szybko przetłumaczył na angielski.

— Inflacja. — Wzruszył ramionami.

— Co takiego? — Jed był wyraźnie zaskoczony.

— No tak. Nie jest to nam na rękę, ale to fakt. W ciągu ostatnich dwóch lat ceny wzrosły trzykrotnie.

— A co on może wiedzieć o sytuacji ekonomicznej swojego kraju?

— oburzyła się Jane. — Nie widziałam tu żadnych gazet. I w ogóle, po co im pieniądze w sercu dżungli? Sądziłam, że przekupimy ich błyskotkami, jak mówiłeś.

— Czasy się zmieniły — wyjaśnił Garcia, spoglądając na wodza. Rozmawiali dłuższą chwilę.

— Możemy prehandlować moje diamentowe kolczyki — Jane szepnęła Jedowi i nim zdążył ją powstrzymać, zdjęła je i podała wodzowi.

— Kolczyki — powiedziała. — Bardzo wartościowe.

Wódz wziął je i pokazał człowiekowi, który stał u jego boku. Ten spojrzał na nie krytycznie, wając je w dłoni, po czym potrząsnął przecząco głową.

— To im nie odpowiada — przekazał Garcia. — Nie potrzebują diamentów, nie mieszkają przecież na Park Avenue.

Jane odebrała swoje kolczyki, spoglądając bezradnie na Jeda.

— Mamy do czynienia z bardzo sprytnym człowiekiem — szepnął Garcia, marszcząc brwi. — Sądzę, że powinniśmy wyciągnąć stare, dobre na wszystko, dolary amerykańskie.

— Dolary! — Wódz wyprostował się w fotelu, okazując wyraźne zainteresowanie.

— Dolary — powtórzył jego doradca.

— No, to do czegoś doszliśmy — roześmiał się Garcia. — Prawda, wodzu?



Przez następne parę minut targowali się. Garcia podniósł równocześnie trzy palce do góry, gdy wódz podniósł osiem.

— Chce osiemset dolarów za każdego przewodnika — mruknął do Jeda, potrząsając głową.

Po kolejnych paru minutach opuścił ręce zrezygnowany.

— Pięćset dolarów. To chyba wszystko, co da się zrobić.

— Przecież to rozbój w biały dzień! — powiedziała Jane.

Wódz przerwał im, mówiąc coś stanowczo do Garcii. Zakłopotany przewodnik tłumaczył jego słowa.

— On mówi, że jeżeli wam to nie odpowiada, macie iść gdzie indziej.

— Przecież bardzo dobrze wie, że nie mamy się do kogo zwrócić.

— Tak, to jest kraj Mescalti — powiedział Garcia. — I oni najlepiej znają te tereny.

— Chcą nas oskubać — wtrąciła Jane.

— No, to nie tak. Sami byli od lat wykorzystywani — zauważył. — Teraz zmądrzeli. Poza tym, wyprawa, na którą chcemy ich zabrać, wiąże się z ryzykiem.

— Ja mam tylko tysiąc pięćset dolarów — wtrącił zirytowany Jed, szperając po portfelu.

Jane zajrzała mu przez ramię. Rzeczywiście, miał tylko te banknoty, o których mówił, oraz kartę kredytową American Express.

— O, używasz tego? — Wydawało się, że jest rozbawiona.

Zmarszczyła brwi i zamyśliła się. Z tego stanu wyrwał ją szmer, który przebiegł przez tłum.

Indianin stojący u boku wodza wręczył swojemu władcy rzeźbioną skrzynkę. Wódz z namaszczeniem otworzył zamek, uniósł wieko i ku ich absolutnemu zdumieniu, wyjął maszynkę do odbijania kart kredytowych.

— Nieprawdopodobne! — wykrzyknęła. — Sądziłam, że przybyliśmy do miejsca, gdzie nie dotarła cywilizacja.

— Masz rację — zachichotał Garcia. — Ale pamiętasz, jak mówiłem, że wiele się zmieniło w ciągu ostatnich paru lat?

— Zgoda, ale żeby zaraz wyciągać karty kredytowe?

Obserwowali wodza, gdy brał od Jeda kartę. Umieścił ją z namaszczeniem w maszynce i dwukrotnie przesunął tam i z powrotem.

— Ach, więc to tak. Mogę się dowiedzieć, jak zamierzają teraz uzyskać te pieniądze?

— To proste — powiedział. — Raz w miesiącu jeden z moich ludzi przyjeżdża tutaj z różnymi towarami i pocztą. Wtedy wszyscy Mescalti powierzają mu swoje sprawy i składają zamówienia. Potem czekają do skutku. Nie sędzę, żeby im się śpieszyło. — Zrobił kwaśną minę.

— Może jeszcze mają rachunek w banku? — zapytała sceptycznie.

Garcia zwrócił się z tym pytaniem do wodza. Odpowiedź była twierdząca.

— Tak, mają. W Limie. Założyli konto pół roku temu. Wódz mówi, że znacznie ułatwia im to dokonywanie transakcji przy wymianie przewodników.

## *Rozdział dziewiąty*

Jed podpisał blankiet, a Jane machnęła zrezygnowana ręką.

— Trudno uwierzyć, ale zdaje się, że rozpoczynamy wreszcie podróż do kraju Yapa.

Na dźwięk słowa Yapa przez całe plemię przebiegł głęboki pomruk. Jane patrzyła, jak Indianie potrząsają głowami, a na ich twarzach pojawia się strach.

Wódz drgnął i powiedział coś do Garcii, odrywając blankiet i chowając datownik.

— Dobiliśmy targu — oświadczył przewodnik. — Ale wódz nie wiedział, że chcemy dotrzeć do kraju Yapa.

— Dlaczego mu nie powiedziałaś? — Jed był zdenerwowany.

— A po co? Żeby podbił cenę? Sądził, że wybieramy się w górę rzeki, jak większość ludzi, którzy tu docierają. A ja powiedziałem, że podamy mu cel naszej podróży, gdy będziemy ruszać w drogę.

— Tego już za wiele! — Jed był wściekły. — Chcę o coś zapytać.

Zrobił krok w kierunku wodza, lecz Garcia powstrzymał go, widząc, że wszyscy mieszkańcy wioski unieśli swoje dzidy.

— Krok dalej, amigo, a będzie to twój krok ostatni.

Jed cofnął się. Postarał rozluźnić się i uśmiechnąć do zebranych.

— Przepraszam — wydusił z siebie. — Nie zamierzałem nic złego.

Jane rozglądała się wokół z przerażeniem, lecz dzidy zniknęły.

— Ciekawe, jak profesor Schmidt poradził sobie z nimi — mruknęła.

— Mogę go zapytać — zaproponował Garcia.

Skinienie głowy było dla niego wystarczającą odpowiedzią.

— Dziś rano jedna łódź z trojgiem ludzi minęła wioskę bez zatrzymywania — przetłumaczył po chwili Garcia.

— Skąd wiedział, gdzie poza tym miejscem znaleźć przewodników?  
— Jed nie ukrywał zdumienia.

— Jest dobrze znany w całym Peru. — Jane kiwała głową. — Musi dużo wiedzieć o tym kraju. To oczywiste, że mógł nająć ludzi, którzy poprowadzą go wszędzie, gdzie będzie chciał.

— Mimo wszystko to dziwne, że znalazł kogoś, kto zgodził się wędrować do kraju Yapa. Nikt w Peru nie wybrałby się tam. No, chyba że... — Garcia zastanowił się.

— Chyba żeby wiedział, że czeka tam złoto? — dorzuciła Jane.

— No właśnie — westchnął Jed. — Tak jak ty, Garcia.

— Ja? — Przybrał niewinny wyraz twarzy. — Ja pracuję na zlecenie.

— Póki co, nie zarobiłeś ani centa — zauważył Jed z wściekłością.  
— Kiedy wreszcie zmądrzejesz, przyjacielu?

— Uważaj co mówisz, amigo. Jeszcze raz stracisz zimną krew, stracisz też swojego przewodnika.

— Chciałabym wiedzieć, co my teraz zrobimy. — Jane niepokoiła się w miarę, jak wzrastało wzburzenie wśród mieszkańców wioski.

Pierwszy odezwał się Jed.

— Powinniśmy jak najszybciej wyruszyć i spróbować dogonić Schmidta, zanim będzie za późno. Jeżeli nam się to nie uda, możemy zawracać do Iquitos i lecieć do domu. Jedno jest pewne, nie możemy zapuszczać się w dżunglę bez doświadczonego przewodnika.

Nagle Jane poczuła, że ktoś ciągnie ją za rękaw. Obejrzała się i zobaczyła małego człowieka, który w czasie targu stał ze skrzynką u boku wodza.

— Potrzebujecie przewodnika. Ja, Esachmo, zaprowadzę was do kraju Yapa — powiedział, klepiąc się w piersi.

— Mówisz po angielsku! — wykrzyknęła.

— Nauczył mnie trochę amerykański misjonarz. Słuchałem też płyt z nagraniami Billy'ego Grahama, prezydenta Nixona i Chon Rivers.

— Kogo? — zapytała słabym głosem.

— Chyba miał na myśli Joan Rivers — odpowiedział Jed.

— To jest doprawdy zas... — zaczęła Jane, lecz przerwał jej Garcia.

— Zapłacimy ci pięćset dolarów amerykańskich, na więcej nie masz co liczyć.

Esachmo błysnął białkami oczu.

— Nie ma obaw! Nie chcę gotówki. Będę jak i ty pracować na zlecenie.

Zanim Jane i Garcia zdążyli zareagować, Jed uśmiechnął się serdecznie, rozłożył szeroko ręce i radośnie zawołał do Indianina.

— Przyjmujemy cię od zaraz! Jesteś czwarty w tej spółce. Jedna czwarta dla każdego!

Esachmo zwrócił się do wodza, wyjaśniając mu, co zaszło. -Wódz był wyraźnie ucieszony, a gdy przekazał zgromadzonym wokół współplemioncom to, czego przed chwilą się dowiedział, natychmiast zabrali się do przynoszenia koszy z różnymi smakołykami.

— To jest doskonały pretekst do świętowania — oświadczył Esachmo.

— Nie możemy zostać — powiedział Jed. — Spieszmy się.  
Powiedz mu to, Garcia. — Nagle roześmiał się i potrząsnął głową. — O, przepraszam, zupełnie zapomniałem, że mówisz po angielsku! Naprawdę, wierz mi, musimy zaraz wyruszyć w drogę. Póki jeszcze świeci słońce.

— Chyba będziesz musiał zmienić zdanie. — Garcia wskazał miejsce, gdzie była zacumowana łódź.

— Och! Zniknęła. — Jane chwyciła Jeda za ramię.

— Nie ma powodu do obaw. — Esachmo zamachał przyjaźnie rękami. — Oddamy wam ją po uczcie.

— Uczcie? — powtórzyła za nim. — To brzmi zachęcająco.

— Mam nadzieję, że podadzą coś smaczniejszego od tego, co gotuje Garcia — dodał Jed.

— My, Mescalti, szczycimy się gościnnością. — Indianin wskazał na kawał tkaniny rozłożony nad rzeką.

Leżały na niej liście, używane tu jako talerze. Były tam także małe, drewniane noże i widelce oraz kubki rzeźbione w sylwetki różnych zwierząt. Nie pozostało im nic innego, jak tylko usiąść i czekać, aż ich gospodarze przygotują jedzenie. Obserwowali, jak Indianie ułożyli wokół wielkiego ogniska kamienie i tuż przy nich ciężkie, palmowe liście.

— Co to będzie? — spytał Jed.

— Najpierw trzeba rozgrzać kamienie — odpowiedział Esachmo. — Potem, gdy będą czerwone i palące, należy położyć na nich świeże ryby z cebulą i ziołami. Palmowe liście są ochroną przed utratą aromatu i nadmiernym wysuszeniem ryby.

Jed i Garcia z ogromnym zadowoleniem patrzyli, jak tuzin Indianek krząta się wokół, przygotowując ucztę.

Jane rozmyślała o ostatnich wydarzeniach. Jej uczucia do Jeda przerodziły się w coś poważniejszego, niż mogła przypuszczać. Oczywiście nie zamierzała dać się zwieść. Wciąż głównym powodem, dla którego podjęła tę wyprawę, było odnalezienie skarbu. Żądanie Esachma, aby przyjąć go do spółki, przekonało ją, że jest czego szukać. Była tego pewna. Martwiło ją, że profesor Schmidt zdołał ich wyprzedzić. Spojrzała z nadzieją na Esachma, może on pomoże im w jakiś cudowny sposób nadrobić dzielący ich od profesora dystans. Gdy tak siedziała, opierając głowę na kolanach, podszedł do nich Indianin z glinianym dzbanem i nappełnił kubki ciemnym, sfermentowanym płynem. Jane posmakowała, chcąc wyczuć, czy napój zawiera alkohol.

— Wypij. — Jed stuknął kubkiem i uśmiechnął się.

— A ty, czemu jesteś taki radosny? — Spojrzała na niego zdziwiona.

— Cieszę się, że dobrze spędzasz czas. Tego właśnie chciałem.

— I to wszystko? — Uśmiechnęła się. — Chciałeś jedynie, żebym się dobrze bawiła?

Skinął potakująco głową.

— Taka podróż ma też spokojniejsze chwile. Nie jesteśmy skazani jedynie na pośpiech, hordy moskitów i niebezpieczne wodospady. Taka noc jak dzisiejsza może nigdy się nie powtórzyć.

— Zgoda, ale to przecież tylko przystanek w drodze. Mam nadzieję, że nie zapomniłeś, po co tu przybyliśmy.

— Szczerze mówiąc, zapomniałem. Sama widzisz, że taka podróż zmienia ludzi.

— No to koniec. — Zaczęła tracić cierpliwość. — Jeżeli zapominamy o celu naszej wędrówki, to już po wszystkim. Możemy już się stąd nie ruszać.

Wyciągnęła mapę z torby i zaczęła ją studiować. Jed spojrzał na nią zaskoczony.

— Po wszystkim? — powtórzył. — To znaczy, po czym?

— Po skarbie! — Zerknęła na niego rozeźlona. — Celem naszej podróży jest odnalezienie skarbu, jeżeli sobie łaskawie przypominasz.

Westchnęła ciężko, zdecydowana ignorować uwagi Jeda i skupiła się na oglądaniu mapy.

W tym czasie Indianie ułożyli ryby na zielonych talerzach. Jed zabrał się z apetytem do jedzenia.

Dziewczyna wzięła parę kęsów i uśmiechnęła się uprzejmie do gospodarzy, lecz jej myśli niezmiennie krążyły wokół mapy i skarbu.

— Wspaniała — Jed chwalił rybę, pozerając ją łapczywie. — Jedz, Jane, musisz nabrać sił.

— Nie martw się o mnie. — Nie odrywała wzroku od mapy. — Czuję się świetnie — dodała i uniosła wzrok.

Jeda nie było. Zostawił ją samą z jej problemem. Rozejrzała się wokół lekko zaniepokojona.

— Szukasz czegoś? — Usłyszała jakiś głos za plecami.

Odwróciła się i ujrzała Esachma, ich nowego przewodnika.

— Zastanawiam się, gdzie jest Jed. — Starła się, żeby zabrzmiało to naturalnie.

— Poszedł tańczyć z mężczyznami — poinformował ją Indianin. — Może i ty chcesz zatańczyć z kobietami?



— Ooo... to wasi mężczyźni nie tańczą z kobietami?

Esachmo był wyraźnie zdziwiony tym pytaniem.

— Oczywiście, że nie — powiedział odchodząc. — Kobiety tańczą tam. — Wskazał ręką na drugi brzeg rzeki.

Jane rozejrzała się wokół. Dym kilku ognisk unosił się w niebo, a z daleka dobiegały dźwięki bębnów. Nie chciała wydać się niegrzeczna, okazując brak zainteresowania świątecznymi atrakcjami. Zaczęła żałować, że nie wyruszyli po południu. Czas był tak cenny! Rozejrzała się ponownie i stwierdziła, że nikt nie zwracał uwagi na to, że samotnie spędzała ten wieczór. Przysunęła się bliżej ognia, wyjęła podręczny kalkulator i zrobiła kilka obliczeń, ustalając w różnych wariantach szczegółowy czas podróży. Zbyt wiele było możliwości wyboru. Westchnęła ciężko i wepchnęła kalkulator do kieszeni. Nagle zdała sobie sprawę, że jest sama przy ognisku. Wstała i poszła w stronę chat. Zobaczyła, że większość Indian przygotowuje się już do snu. Zerknęła na zegarek. Siedziała sama przy ognisku całe dwie godziny. Przez cały ten czas Jed nie zainteresował się nią.

Zeszła cicho nad rzekę, aby wyciągnąć z łodzi swoje rzeczy. Wzięła śpiwór i ruszyła powoli przez wioskę, szukając namiotu Jeda. Znalazła go na nadbrzeżnej skale. Łagodny plusk rozbijającej się o brzeg wody pozwolił jej zapomnieć na chwilę, że są w Peru i szukają skarbu. Podeszła do namiotu i po cichu odpięła zamek. Jed spał. Rozczarowana rozwinęła swój śpiwór, rozebrała się i położyła obok niego.

Wsluchiwała się w jego równy oddech. To prawda, osiągnęli wiele, lecz główny cel był przed nimi. Podłożyła ręce pod głowę. Raz jeszcze

przeliczyła odległość, która dzieliła ich od skarbu. Czy jednak zdażą przed profesorem Schmidtem? To był teraz główny, dręczący ją problem.

Drgnęła lekko, zaskoczona, gdy poczuła rękę Jeda dotykającą jej dłoni.

— Nie śpisz? — wyszeptała.

— A ty?

— Ja? — roześmiała się. — Nie mogę spać, mam zbyt wiele spraw do przemyślenia.

— Tak też myślałem. Przez te swoje analizy straciłaś wspaniałe święto.

— Co masz na myśli? — Poczowała się urażona. — Przecież byłam tam i wszystko widziałam.

— To nic, że byłaś — mówił uprzejmym tonem. — Twoje myśli błędziły daleko stąd.

— Mam nadzieję, że nikogo nie uraziłam.

— Ach nie. Nie w tym rzecz. Nikt tu się nie obraża o takie sprawy. Poza tym, widzieli, że jesteś czymś bardzo zaabsorbowana. Tutaj taniec uważa się za wspólny relaks. Jeżeli nie chcesz być częścią wspólnoty, nie ma sensu tańczyć. — Przerwał na moment. — Ja natomiast mam wrażenie, że twoje myśli są już obsesyjne.

— Tak właśnie jest — przyznała. — Dla mnie liczy się teraz tylko odnalezienie skarbu.

Jed westchnął, a właściwie jęknął, słysząc to.

— O nie. Nie wierzę! — Gwałtownie puścił jej rękę. — Stworzyłem potwora.

— No, nie przesadzaj. Naprawdę cię to nie podnieca? — Odwróciła się w jego stronę, ale patrzył w sufit namiotu.

— Nie, ani trochę — powiedział głuchym tonem. — Nie ma czym się podniecać. Ile razy mówiłem, że nie ma żadnego skarbu, a ty z uporem maniaka nie chcesz mi uwierzyć. Co za nonsens!

Przewróciła się na plecy, zirytowana tak samo jak on.

— Pamiętaj tylko, że nikt ci nie wierzy. Ani Garcia, ani Indianie, ani nasz nowy przewodnik — po prostu nikt.

— Wiem o tym. Liczyłem jednak na to, że ty jesteś nieco bardziej rozumna od tych matolów — wyszeptał, a słowa te ubodły ją.

Nic nie odpowiedziała, tylko serce zaczęło bić jej tak mocno, że prawie było to słychać.

— Do diabła z tym wszystkim! — Z rozpaczą uderzył pięścią w ziemię. — Nie przekonam cię, a jak odkryjesz prawdę, to mnie znienawidzisz!

Jane zdobyła się na uśmiech i zaprzeczyła temu.

— Nie, to na pewno się nie zdarzy. Nie po tej podróży. — Odszukała w ciemności jego rękę. — Ja... nigdy nie przeżyłam czegoś takiego. Tak, to jest niezwykła podróż.

— Nie to miałem na myśli. — Nieśmiało ścisnął jej dłoń.

— Wiem.

Zapadła cisza. Przerwał ją Jed.

— Czy naprawdę nie mogę nic zrobić, abyś przestała rozmyślać wciąż o jednym, zanim zwariujesz?

— Nie — odpowiedziała po chwili namysłu. — Nie sądzę.

Zaczął zmysłowo pieścić jej dłoń.

— Może jednak spróbuję? — Odwrócił się, wsunął pod jej plecy. — Nie zauważyłem, jak wchodziłaś — szeptał jej do ucha. — Jesteś ubrana?

— Niezupełnie — szepnęła, masując jego szyję.

— To dobrze, bo nie mam nastroju, żeby tracić czas, ściągając z ciebie rzeczy.

Ta bezpośredniość wzbudziła w niej żar i spowodowała drżenie ciała, które Jed wyczuł błyskawicznie, odpowiadając na ten sygnał pocałunkiem. Ich usta połączyły się na dłuższą chwilę. Jane szybko wydostała się ze śpiwora i zaczęła odpinać guziki koszuli nocnej. Przyglądał się temu błyszczącymi oczyma.

— Jesteś wspaniała — mruczał.

— No, nie tak bardzo — szepnęła. Odnalazł jej głowę i przyciągnął ku sobie.

— Jesteś. Zaraz ci to udowodnię.

Ponownie pocałował ją bardzo delikatnie w usta, po czym zaczął wędrowkę wokół jej twarzy. Odkrywając wrażliwe rejony szyi, dotarł do ramion, a potem pieścił piersi. Rozpalał ją, czuł każdy, nawet najmniejszy odzew. Jęknęła, gdy dotarł do szczytu jednej z piersi. Rozdrażnił ją do granic i szybko przeniósł się na drugą.

Chciała, by zatrzymał się na chwilę dłużej, lecz odmówił. Syknęła z rozpaczy, gdy powrócił do jej ust. Wrócił na dół, a jego język znalazł cudowną ścieżkę wzdłuż talii aż do bioder. Minał je szybko, rzucając się do czułego miejsca pod kolanami. Po chwili pieścił ustami i obiema rękami jej uda. Nie pozwolił, aby go podniecała.

— Później — wyszeptał ochryple. — Teraz wszystko dla ciebie.

Jane oddychała nierówno. Rozchylił jej uda i dotarł do łona. Otwierała i zamykała oczy, gdy tak wiódł ją do świata, którym było błogie pożądanie.

Nagle znów położył się na niej. Powitała go pożądliwie, wtulając się w niego, gdy w nią wchodził.

Jane szybko osiągnęła orgazm. Chwilę później Jed jęknął głośno, a potem wszystko ucichło.

— Oooch! — sapnął Jed po dłuższej chwili. Pocałował ją delikatnie w czoło i zaśmiał się.

— Jed — szepnęła, opierając głowę na jego piersi.

— Tak, moje kochanie? — Pocałował czubek jej nosa.

— Czy sądzisz, że zdążymy znaleźć skarb przed profesorem Schmidtem? Bo jeżeli nie... to co będzie wtedy?

Wyczuła jego rozdrażnienie, gdy się od niej gwałtownie odsunął.

— O co chodzi? — Była zakłopotana. — Uprzedzałam cię, co mnie dziś trapi najbardziej. Nie możesz mi jakoś pomóc o tym zapomnieć? — Podczołgała się do niego i oparła głowę na piersi.

Nie poruszył się.

— Właśnie próbowałem — odpowiedział sucho. — A ty, jak myślisz, po co tak naprawdę tu przyjechaliśmy?

— O, to jest chyba pochlebstwo. — Uśmiechnęła się.

— Tak, oczywiście. — Uniósł się i oparł na łokciu.

— Przecież mówiłam, że tak właśnie jest. Jesteś zarozumiała!

— Co? O czym ty w ogóle mówisz!?

— Sądzisz, że możesz odsunąć moje myśli od skarbu, kochając się ze mną, kiedy tylko tego zapragniesz? No cóż, to nie działa w ten sposób.

— Właśnie widzę — wymamrotał. — W każdym razie, to jest twoja strata, twoje nieszczęście.

Jane uniosła się i spojrzała na niego z góry, ciskając pioruny.

— To jest najbardziej aroganckie stwierdzenie, jakie w życiu słyszałam!

— Chciałem ci tylko pokazać, co jest w życiu naprawdę istotne! — Uderzył z całej siły pięścią w ziemię. — Twoja hierarchia wartości jest bardzo dziwna.

— Doprawdy? A twoim zdaniem najważniejsze jest upewnić się, czy zaznałam odpowiednio dużo seksu! Bardzo miło z twojej strony, ale już dziękuję! Następnym razem wcale do ciebie nie przyjdę.

Wróciła do swojego śpiwora, robiąc przy tym dużo zamieszania. Miała nadzieję, że Jed powie coś jeszcze, ale nie zrobił tego. Nie miała innego wyboru, jak tylko obrócić się na bok i zasnąć.

## *Rozdział dziesiąty*

— Masz klapki na oczach — powiedział Jed następnego dnia.

Płynęli w dół rzeki. Jane i Garcia w dużej łodzi, a pozostała dwójka w jednoosobowych kajakach.

Czuła, że chce ją poniżyć w oczach przewodników. Skrzywiła się niezadowolona.

— Nie widzisz, co się dzieje dookoła ciebie.

— To złoto — wtrącił Garcia. — Złoto może doprowadzić do większego obłędu niż słońce na pustyni. Oślepia ludzi na wszystko inne wokół.

— Mnie to nie dotyczy. — Zaczęła się bronić. — Mam kilka innych spraw na głowie.

Chcąc odwieść Jeda od tego tematu, próbowała uwodzić go uśmiechem — spostrzegła jednak, że zmierzają donikąd. Jed nie chciał poddać się duchowi przygody. Musiała sama sobie radzić z tym problemem.

— Nie ma znaczenia, czy znajdziemy złoto, czy nie. Samo obserwowanie was jest już wystarczającą atrakcją — odezwał się Garcia, gdy mijali zakręt na rzece.

— Miło mi to słyszeć — odparł Jed. — Co ty na to, żebyśmy zapomnieli o skarbie i skupili się na wiosłowaniu po tej uroczej rzece?

— Nigdy w życiu. — Jane zmrużyła oczy.

— No właśnie — jęknął Jed. — Ślepcy. Uśmiechnęła się, patrząc, jak przyspiesza, zostawiając ich łódź za sobą.

— Może masz rację — powiedziała do siebie, bo nie mógł już jej słyszeć. — Nie widzę niczego złego w pożądanym.

Słyszał ją Garcia.

— Istotnie, nie ma w tym nic złego — powiedział. — Musisz tylko bardzo dobrze uważać na to, z czego rezygnujesz. Może się to okazać bardziej wartościowe niż to, czego pragniesz za wszelką cenę.

— Nie jestem głupia, Garcia — powiedziała, patrząc na Jeda.

— Pozwól, że sam to ocenię. W każdym razie, możesz zyskać coś jeszcze prócz złota.

— A, to ciekawe!

— Dam ci plan — roześmiał się — ale będzie cię to kosztowało twój udział w skarbie.

Zamrugła, zaskoczona jego propozycją.

— Cały mój udział? Bardzo ciekawe, co mi zaoferujesz w zamian?

— No... Jeda, oczywiście.

— Jeda?! — Roześmiała się. — W zamian za mój udział? Zupełnie nie rozumiem, co chciałeś przez to powiedzieć.

Ciągnął dalej, wcale nie zmieszany.

— Sprowadzę Kupidyna dla dwojga głupich kochanków, zagubionych w środku największego lasu tropikalnego. Mogę się założyć, że zanim znajdziemy skarb, senior Smith zechce, abyś została jego oblubienicą.

— O nie, dziękuję. — Roześmiała się serdecznie. — Zdecydowanie wolę swoją część złota.

— W porządku. Pamiętaj tylko, że moja oferta jest ciągle aktualna. Jeżeli zechcesz skorzystać, powiedz mi o tym.



— A nie spuścisz ceny?

— Oczywiście, że nie — powiedział z całą powagą.

Rzeka rozszerzyła się w dość spore jezioro. Jed zwolnił, czekając na pozostałych. Gdy podpłynęli do jego kajaka, uderzył wiosłem w wodę przy burcie łodzi tak, że ochlapał Jane.

— Przepraszam, ale wyraźnie potrzebujesz ochłody.

— Bardzo dziękuję — odparowała. Garcia pokręcił głową i spojrzał na Esachma.

— Hej, amigo.

— Eę? — mruknął przewodnik.

— Muszę cię ostrzec przed nimi.

— O, to zbędne. Nie przejmuję się, wszystko widziałem. —

Uśmiechnął się złośliwie, sugerując im, że jeżeli mają ochotę robić z siebie głupców, to nikt im nie będzie w tym przeszkadzał.

— No widzisz. — Jane spojrzała na Jeda. — Myślą, że zachowujesz się jak dzieciak.

— Coo? Dzieciak?! Garcia!

— Ja nic nie mówiłem. — Garcia założył ręce. Słyszając to, Jed uniósł wysoko wiosło i uderzył z impetem w powierzchnię wody, oblewając ich.

Garcia otarł twarz i wzruszył ramionami, jakby nic się nie stało.

— Popatrz — ciągnęła Jane. — To jest prawdziwy mężczyzna, nie będzie się z tobą kłócił.

Garcia popatrzył na nią, dając do zrozumienia, że ma już dosyć tej rozmowy.

— Czas na lunch — oświadczył. Zdjął kamizelkę ratunkową i rzucił ją na dno łodzi. — Może jak coś zjecie, to się wam humory poprawią.

Jane zrobiła to samo.

— O Boże, jak ja tego nienawidzę. Mam nadzieję, że już jej nie założę.

— Będiesz ją nosić bez gadania, dopóki będziemy płynąć tą rzeką!  
— krzyknął Jed. — Pamiętaj, że ocaliła ci życie na wodospadzie.

— Ja się nie rozbieram, dopóki nie stanę na suchym lądzie. Przez całe życie na tej piekielnej rzece nigdy nie czułem się tak bezpieczny jak teraz, z tym na grzbiecie — wyjaśnił Esachmo, klepiąc się po kamizelce i uśmiechając się. — Pomaga mi zwalczyć moje lęki.

— Lęki? — powtórzyła Jane, zdumiona angielszczyzną Esachmo. — Do czego to doszło w tym pierwotnym świecie!

Wzięła wiosło i zaczęła kierować łódź do brzegu. Esachmo podązał tuż za nią.

Jed stał w kajaku, starając się ominąć wystającą skałę. Gdy zrównali się z nim, Garcia wyciągnął swoje wiosło i uderzył w piersi tak, że stracił równowagę.

Słyszając krzyk, Jane odwróciła się i zobaczyła, jak wpada do wody. Nie mogła powstrzymać się od śmiechu, widząc, jak się bezradnie miota.

— Ale ci się dziś dostaje! — wykrzyknęła. Próbował płynąć, ale koszula, która przy upadku nabrała powietrza, krępowała mu ruchy. Spróbował złapać się burty łodzi, jednak źle obliczył odległość i ponownie się zanurzył.

— Podaj mi rękę! — krzyknął.

Wyciągnęła wiosło w jego kierunku, lecz było już za późno. Ujrzała ze zdumieniem, jak idzie pod wodę. Roześmiała się, czekając cierpliwie, aż się wynurzy. Minęło już kilka sekund.

— Oooch... — Garcia wychylił się, szukając go wzrokiem.

— Widzisz go? — Jane zaniepokoiła się. Garcia nie odpowiedział.

Zerknął z przestachem na zegarek.

— Dwadzieścia sekund — powiedział. Jeda nie było nigdzie widać.

— Garcia! Mów, co się dzieje!

Ponownie nic nie odpowiedział. Podniósł dłoń do ucha, jakby czegoś nasłuchiwał. Minęło następne dziesięć, potem dwadzieścia sekund.

Jane wpadła w panikę.

— Co się z nim dzieje?! — Wpatrywała się w wodę.

Garcia oznajmił, że minęło pięćdziesiąt sekund.

— W tej odnodze rzeki nie ma piranii, prawda? — Odwróciła się, spoglądając mu w oczy.

— Nie, nie ma — odparł.

Czyżby woda uniosła go z prądem? Spojrzała przed siebie, ale nic nie dojrzała.

— Półtorej minuty.

— Nie widzę żadnych krokodyli. — Nie zdawała sobie sprawy, że jej głos uniósł się histerycznie.

Esachmo siedział w swoim kajaku. Sprawiał wrażenie zupełnie obojętnego. Jane spojrzała na niego wściekła.

— Zrób coś! — odezwał się Garcia. Teraz i on był niespokojny.

Pchnął energicznie wiosłem, obracając łódź w nadziei, że ujrzy coś pod jej dnem.

Wychylił się i zanurzył głowę pod wodę, lecz nic nie zobaczył.

Otrząsnął się z wody i spojrzał na zegarek.

— Prawie trzy minuty.

Spróbował jeszcze raz. Jane odchodziła prawie od zmysłów. Z rozpaczą patrzyła na Esachma. Indianin siedział z wyrazem absolutnego spokoju na twarzy.

— Zrób coś! — krzyknęła.

— Ale co?

— Możesz zdjąć kamizelkę i zanurkować!

— Przykro mi. — Esachmo zaprzeczył ruchem głowy. — Nie mogę.

— Chciałeś powiedzieć, że nie chcesz! — krzyczała dalej.

— Nie mogę — powtórzył.

Chwyliła desperacko strzelbę Garcii i wycelowała w Indianina.

— Ściągaj tę kamizelkę, mój panie, i wskakuj do wody!

Natychmiast!

Usłyszała plusk wody za plecami. Odwróciła się i ujrzała stopy Garcii, który właśnie zanurkował.

— Może go zauważył? — Odłożyła strzelbę, wychyliła się z łodzi i zanurzyła głowę w wodzie.

Omam nie zemdląa. Ujrzała twarz Jeda. Pocałował ją i zanim się zorientowała, wciągnął ją do wody.

Wypłynęła, by nabrać powietrza i ujrzała go o parę metrów od siebie. Z trudem łapał powietrze, śmiejąc się głośno.

Przyglądali mu się zdziwieni.

— Ty, ty... — wydusiła z siebie.

— Słucham? — zwrócił się do niej uprzejmie, a patrząc na nią, roześmiał się. — Martwiłaś się o m-nie?

— Martwiłam! Umierałam ze strachu. Jak mogłeś coś takiego zrobić, o mały włos nie zwariowałam! — Już nie panowała nad sobą — wybuchnęła płaczem.

Garcia podpłynął do łodzi.

— Niezły dowcip, amigo. Tym razem naprawdę mnie nabrałeś. Niewielu ludzi potrafi wstrzymać oddech na ponad pięć minut.

— Wcale nie wstrzymywałem oddechu — oświadczył. — Użyłem tej rośliny. — Wyciągnął pustą w środku, niczym słomka, łodygę. — Idealna do nurkowania. — Mówiąc to, zanurzył się i jedyne, co widzieli, to wystająca trzcina.

Jane aż musiała przytrzymać się burty łodzi z wrażenia. Najwyraźniej Jed i Garcia często robili sobie takie numery, ale ona umierała ze strachu. Próbowwała jakoś się otrząsnąć.

— No, powinniśmy sobie odpocząć — powiedział Garcia. — Czas na lunch. I proszę, bez żadnych sztuczek, Jed — dodał, kiwając do niego palcem.

Podpłynęli do brzegu, a Esachmo przyholował łodzi. Nie wszedł do wody, dopóki nie stwierdził, że sięga mu ona bezpiecznie do kostek.

— A więc nie udawałeś. — Jane brodziła w wodzie po kolana. — Boisz się dużych głębokości?

— Boję się utonąć — powiedział, wyciągając łodzi na brzeg i nie patrząc na nią.

— Jakies złe doświadczenie z dzieciństwa? — dociekała.

— Nie, nie miałem takich doświadczeń. I nie będę miał.

Gdy zdjął kamizelkę ratunkową, ujrzała na jego ciele głęboko odcisnięte ślady pasków.

— Nie powinieneś zapinać się tak ciasno. Chyba się nie boisz, że kamizelka ci spadnie?

Esachmo spojrzał na nią wymownie.

— Nie umiem pływać.

— Nająłeś się na przewodnika, a nie umiesz pływać? — Była zdumiona.

Garcia i Jed wybuchnęli śmiechem, lecz widząc wyraz twarzy Indianina, powstrzymała ich.

— Musiało być ci ciężko dorastać tu, gdzie wszyscy pół życia spędzają w wodzie.

— Dzieci dlatego przezywały mnie Lądowym Wieprzem. Cierpiałem podczas fizycznych ćwiczeń. Za to jestem dobry w językach i matematyce.

— Dzięki temu zostałeś prawą ręką wodza? — stwierdziła Jane.

— O, nie. — Esachmo oglądał piasek na brzegu. Jane podeszła do niego.

— Nie jestem niczyją prawą ręką. — Oderwał wzrok od ziemi. Zatrzymała się parę kroków przed nim.

— Jestem synem wodza. Przesypywał przez palce piasek.

— Będiesz więc królem, Esachmo. — Podniecała ją myśl, że odbywa podróż z członkiem rodziny królewskiej.

— Adidas. — Indianin odezwał się po chwili.

— Król Esachmo Adidas — powiedziała.

— Reebok.

— Król Esachmo Adidas Reebok. — Zerknęła na niego niepewnie. — To brzmi jak reklama butów.

— On mówił o śladach butów. — Jed podszedł do niej i przytulił mocno. Poczowała ogromną ulgę. Spojrzała na niego, chcąc, by odgadł, jak bardzo się martwiła. Kiwnął głową, dając do zrozumienia, że wie wszystko. Potem wskazał na ziemię. Jane zamarła.

— Ślady butów, co najmniej ze stu! — krzyknęła.

— Są dwojakiego rodzaju — powiedział Jed. — I są dość świeże. Adidasy numer dziesięć, a reeboki numer siedem. Hmm... mały rozmiar jak na mężczyznę.

— Ktoś niewysoki. — Esachmo postawił stopę w śladzie po reeboku.

— Prowadzą do dżungli. — Jed zwrócił się do Garcii. — Biwakowali tu ostatniej nocy i wyruszyli nad ranem.

— Nic nie wskazuje na to, żeby się spieszyli — powiedział Garcia. — O! Tu wyciągali łódź na brzeg. — Odsunął gałęzie.

— Wszystkie ślady są bardzo świeże i nikt nie próbował ich zacierać — zauważył Esachmo.

— Więc nie wiedzą, że idziemy za nimi. — Jane była podniecona.

— No, to teraz złapiemy ich bez problemu. — Jed odetchnął z ulgą. Jane oglądała mapę.

— Hmm... możemy popłynąć jeszcze jakieś piętnaście kilometrów. — Spojrzała przed siebie. — Zbliżamy się do szlaku. Zyskamy na czasie i wyprzedzimy ich.

Esachmo potrząsnął głową.

— Nie ma żadnego szlaku. Tu jest dżungla; drzewa i pnącza. Będziemy musieli ciąć je maczetami. Zajmie nam to mnóstwo czasu.

— Lecz szybciej dotarlibyśmy do złota. — Garcia uśmiechnął się pożądliwie. — Ja jestem gotów ciąć, a ty? — Spojrzał na Jeda.

Jed zawahał się. Wyciągnął swoją kopię mapy i przyjrzał się jej.

— Nie podoba mi się pomysł cięcia drogi przez tę diabelską dżunglę.

— Ależ, Jed! — Jane podskakiwała w miejscu. — Chyba się nie boisz, skoro ja się nie boję.

— Pamiętasz te pięć pięter schodów w upalny, wilgotny wieczór w Nowym Jorku, gdy szliśmy do ciebie do domu?

Skinęła głową zniechęcona. Bardzo dobrze pamiętała. Było wtedy parno i gorąco.

— Dodaj do tej wspinaczki tysiące poskręcanych lian i gałęzi hamujących każdy krok — wyczuł, że ma przewagę — do tego moskity wielkie jak twoja dłoń, pająki, kąsające węże, gryzące szczury, no i armia mrówek, które mogą ogryźć człowieka do kości w ciągu jednej godziny.

Garcia wyciągnął maczetę i zamachał nią w powietrzu, imitując ruch wycinania roślin.

— Dla złota, amigo, jestem gotów obciąć włosy samemu diabłu.

Stojący obok niego Esachmo potakiwał głową.

— Wasi przeciwnicy są w gorszej sytuacji — zauważył. — Idą, nic o nas nie wiedząc. Możemy łatwo zdobyć przewagę.

— Zdobyć skarb! — dodała Jane z błyskiem chciwości w oczach.

— A co z węzami, moskitami, pajakami i szczurami? — Jed był wyraźnie rozczarowany, że jego ostrzeżenia nie przyniosły rezultatów.

— Przyjmuję to wyzwanie — odpowiedziała. — Przecież po to tu przyjechałam. Mamy cel w zasięgu ręki, a ja nie przepuszcze takiej okazji!

Jed spojrział na nią poważnie i pokiwał głową.



— Jane...

Nie słuchała. Odwróciła się i zostawiając ich, ruszyła w stronę dżungli.

Minęło parę godzin. Podążali w żółwym tempie przez gęsty, tropikalny las. Na czele szedł Garcia, paląc cygaro. Wycinał drogę z prędkością jednego metra na pięć, dziesięć sekund. Jed miał rację. Wejście na piąte piętro kamienicy było naprawdę niczym w porównaniu z tą drogą. Dym z cygara rozdrażniał ją jeszcze bardziej.

— Och, to jest nie do zniesienia — wymruczała pod nosem.

— Co znowu? — zapytał radośnie Jed, który szedł 'za nią i wszystko słyszał.

— Nic — warknęła. — Komentowałam jedynie warunki klimatyczne.

Machnęła maczetą, żeby uciąć lianę wiszącą jej na drodze, lecz zamiast liany ścięła piękny, różowy kwiat.

Jed podniósł go i wpiął w klapę koszuli.

— Dziękuję bardzo. Jaki piękny gest. Jeszcze nikt nigdy nie ofiarował mi orchidei.

— Orchidei? — Odwróciła się, zaciekawiona. — Rzeczywiście, jest wspaniała. Wiesz, ile kosztowałyby w Nowym Jorku?

— Nie — odpowiedział beztrasko. — W każdym razie, tu są za darmo.

— Tak, amigo — wtrącił Garcia. — Dżungla ma wiele skarbów, a wszystkie za darmo, jeżeli się przeżyje. — Roześmiał się nieprzyjemnie.

— Zapamiętam to sobie! — Sięgnęła po następny kwiat.

— Uważaj! — wrzasnął Jed. — Pyton!

— Aha! Znowu zaczynasz?! Tym razem mnie nie nabierzesz. —  
Zerwała orchideę, uśmiechając się triumfująco. — Wszystko za darmo!

Usłyszeli głośny syk, gdy rozdwojony język pytona mignął tuż przy jej twarzy. Zatrzymała się nagle, wpadając prosto w objęcia Jeda. Jak zahipnotyzowana wpatrywała się w okręconego wokół drzewa potężnego pytona.

— No, idź, zdejmij go z gałęzi. Będziesz miała maskotkę — zakpił Jed.

— Oszalałaś?

— Możesz go sprzedać, czemu nie. Wiesz, ile zapłaciliby za niego zoo w Bronx?

— Nie interesuje mnie to. Za żadne skarby świata nie wzięłabym do ręki takiego potwora.

— Nikt nie mówi o pieniądzach! Możesz brać go za darmo.

Jęknęła i poszła dalej, uchylając się bokiem i upewniając, że uniknie kontaktu z węzem.

I tak wąż był niczym w porównaniu z całą resztą. Temperatura i wilgoć wzrastały, grunt stawał się coraz bardziej grząski, a ilość much nie dawała się określić. Nieznośne — jedyne słowo, które przychodziło jej do głowy.

Wspinali się teraz po stoku. Widoczność ograniczyła się do kilku kroków. Dżungla otaczała ich zewsząd ścianą zieleni. Potem, gdy schodzili, ziemia stała się tak miękka, że trudno było zrobić krok. „Tylko nie bagno — błagała w duchu. — Tylko nie bagno, proszę!”

Po każdym kroku słyszała plaśnięcie butów o błoto. Na ręce usiadł jej moskit, lecz uderzyła go, zanim zdążył ją ugryźć.

— Mam cię, draniu! — Wyciągnęła trutkę na owady i dokładnie spryskała nią gołą skórę.

— Fuuu! — Jed zamachał rękami. — Ale smród!

— Nie większy niż z cygar Garcii. Ledwo mogę oddychać w tej wilgoci.

— Nie palę dla przyjemności! — wykrzyknął Garcia, nie przestając ciąć maczetą.

Nie słuchała. Skupiła się na ostrożnym stawianiu każdego kroku. Zdradzieckie podłoże stanowiła gruba warstwa brązowego mułu.

— Idę po czekoladowym budyniu — powiedziała do siebie.

— Jakie masz miłe skojarzenia! — skwitował uprzejmie Jed.

Z trudem powstrzymywała się, żeby nie przyłożyć mu za to.

Musiała naprawdę uważać. Za każdym stąpieniem jej buty zanurzały się w błocie. Skrzywiła się, gdy wpadła jedną nogą do wielkiej kałuży.

— Czekaście! Mam w skarpecie grudę błota.

— Pokaż. — Jed objął ją w pasie. — To może być pijawka.

— Coo? — Nie chciała uwierzyć.

— Pijawka? — Garcia odwrócił się, wydmuchując kłęby dymu. —

W razie czego, jestem gotowy.

Wyjął cygaro z ust i przybliżył do jej nogi. Jed w tym czasie ostrożnie podwinął nogawkę spodni i zsunął skarpetkę. Nic nie znalazł.

— Uff! Już się zmartwiłem, że będę musiał ją zdejmować. Teraz ci powiem — brzydzę się pijawek.

— Na pewno nie tak bardzo jak ja, amigo. — Garcia wzruszył ramionami.

Jane patrzyła to na jednego, to na drugiego, czując, że zaraz zemdleje.

— No, chłopcy?

Spojrzeli na nią i zauważyli, że wskazuje na drugą nogę.

— To ta — jęknęła.

Rzeczywiście, pod drugą skarpetką ujrzeli wyraźne zgrubienie. Jed przełknął ślinę i zabrał się do dzieła. Chwycił mocno dziewczynę i podniósł jej nogę tak, aby móc łatwo i szybko zdjąć skarpetę.

Jane poczuła mdłości, gdy zobaczyła, co ma na nodze.

— Obrzydlistwo!

— Czegoś takiego to jeszcze nie widziałem. — Jed wziął od Garcii cygaro i przytknął je do śliskiego potwora.

— No, załatwione. — Garcia odetchnął z ulgą.

— Już po wszystkim — dodał Jed, klepiąc ją po ramieniu i oddając cygaro Garcii.

Była ciężko przerażona.

— Co ty na to, żebyśmy ruszyli z tego miejsca i doszli czym prędzej na suchą, trawiastą przestrzeń?

Jane stęknęła głośno i zemdląła.

## *Rozdział jedenasty*

— Coś mi tu nie pasuje, amigo. — Garcia wyjął cygaro z ust i wyciągnął z kieszeni kompas.

— No, chyba się nie zgubiliśmy? — niepokoił się Jed.

Jane podeszła do nich, rozcierając bolącą kostkę. Przez resztę drogi po bagnistej równinie szła na palcach w obawie przed następnymi pijawkami.

Znajdowali się teraz na nieco wyżej położonym terenie. Miała więc okazję odpocząć. Wiedziała też, że niedługo wyjdą z dżungli.

— Wszystko idzie zgodnie z planem. — Esachmo wzruszył ramionami. — O zachodzie słońca wyjdziemy na suchą łąkę.

Garcia był wyraźnie zaniepokojony. Wyjął mapę z plecaka i zaczął ją rozwijać.

— To jest moja prywatna mapa. To znaczy, sam ją zrobiłem — wyjaśnił. — Mam tu zanotowane takie szlaki, o które nawet Mescalti byliby zazdrośni.

— Ja tutaj mam swoją mapę — powiedział dumnie Esachmo, wskazując na głowę. — Nie zgubię jej. Nikt jej nie ukradnie ani nie zniszczy. Tak, dotrzemy do wyżyny przed zachodem słońca. Zbyt niebezpiecznie jest przemierzać ten teren w ciemnościach, zwłaszcza gdy dojdziemy do urwiska.

— Urwiska? — zapytała Jane. — Takiego jak w górach?

— Tak, wysokie i ostro opadające w dolinę poniżej — potwierdził Garcia.

Zerknął jeszcze raz na mapę i złożył ją.

— Hmm... panno Jane, czy mógłbym zobaczyć pani mapę? To znaczy... hmm... teraz, gdy jesteśmy współnikami...

— Dlaczego? — spytała. — Nie ufasz mi?

— Ależ ufam — zapewnił, lecz nie przekonał jej.

— On chce tylko zobaczyć, czy ta mapa jest prawdziwa — wtrącił Jed. — Prawda, Garcia?

Skinął potakująco głową.

— Coś mi tu nie gra. Nie opuszcza mnie podejrzenie. Zanim zrobię następny krok, muszę bezwzględnie zobaczyć tę mapę.

— Co z tobą, Garcia? — Jed roześmiał się. — Przestraszyłeś się, że ktoś tu cię oszukuje?

Spojrzał na Jeda badawczo, a ten odpowiedział mu szyderczym grymasem.

— Teraz już wiem, że coś tu nie jest w porządku.

— Może moja mapa? — wtrąciła się Jane. Garcia przetoczył cygaro w drugi kąt ust i wskazał palcem na Jeda.

— O nie. Nie z mapą, lecz z tym tutaj człowiekiem.

— A co jest z nim niby nie tak? Jed roześmiewszy się odparł.

— W każdym razie, na pewno nie mam gorączki!

— Gorączki?

— Gorączki... złota. — Usłyszeli głos Esachmo. Młody Indianin spojrzał uważnie na Amerykanina.

— Jesteś albo bardzo bogatym człowiekiem, albo tak bardzo chytrym, że nie można ci ufać. Nie powiedział nam pan wszystkiego. — Odwrócił się w stronę pozostałej dwójki. — Umiem czytać z ludzkiej

twarży lepiej, niż odnajdywać przejścia przez dżunglę. A ta twarz mówi mi, że weszliśmy na drogę porażki.

— Chciałeś powiedzieć, oszustwa — poprawiła go Jane.

— To też. Mogłem zgodzić się na gotówkę, zamiast udziału w złocie.

— Lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu, zgadza się, Esachmo.  
— Jed roześmiał się.

— Tak, senior, zwłaszcza, gdy ten dach znajduje się w kraju Yapa. Teraz nie wierzę, że tam jest jakieś złoto. Zastanawiam się, czy w ogóle iść z wami dalej niż do urwiska.

— Ja w każdym razie idę dalej. — Jane była wściekła. — Nie będę teraz tracić czasu na kłótnie. Nie teraz, gdy jesteśmy tak blisko celu.

— No, to pokaż Garcii mapę — zasugerował Jed. Garcia wyciągnął rękę.

— Nie, amigo. Mapa jest moja.

— Mogę zobaczyć kopię? — Garcia zwrócił się do Jeda.

— Jasne, stary, już ci ją daję.

Zdjął kapelusz, wyciągnął kopię mapy i podał ją Garcii. Rzuciła się, aby go powstrzymać, ale Jed był szybszy i silniejszy. Chwycił ją mocno za ramię.

Garcia wziął mapę i przyjrzał się mu uważnie.

— Coś zbyt ochoczo mi to dałeś. To jest kolejne ostrzeżenie. — Uśmiechnął się zadowolony. — Teraz zobaczymy, czy mnie nos nie zawiódł.

— Jak mogłeś?! Gdy zobaczy mapę, porzuci nas przy pierwszej nadarzającej się okazji i sam ruszy po złoto! To samo ten brudny oszust i bandyta zrobił ci cztery lata temu!

Jej słowa przyjęto grobowym milczeniem. Wiedziała, że przesadziła. Jedyną rzeczą, która się w tej chwili liczyła, było dotarcie do skarbu. Garcia gapił się na nią z niedowierzaniem.

— Brudny bandyta! — powtórzył po niej z naciskiem. — Ja? A Jed to co? Przecież to on próbował mnie oszukać?

— Nie! — krzyknęła, wrywając się Jedowi. — Ty go oszukałeś! To ty skazałeś go na zatracenie w środku tej piekielnej dżungli.

Garcia był zdziwiony. Spojrzał na Jeda.

— Zapewniam cię, że on otrzymał jedynie to, co mu się należało. Poza tym, na nic go nie skazałem. Przecież wróciłem po niego. — Spojrzał na Jeda, rozkładając ręce. — Powiedz jej, że nie kłamię.

— Tak, wróciłeś po mnie, Garcia, i muszę powiedzieć, że miałeś wtedy najbardziej idiotyczny wyraz twarzy, na jaki było cię w życiu stać.

Jane na przemian ścisnęła i rozprężyła pięści. Nie wiedziała, co ma o tym wszystkim sądzić. Postanowiła nie wierzyć ani jednemu, ani drugiemu. Zerknęła na mapę, którą trzymał Garcia, której jednak nie zdążył jeszcze rozłożyć.

— Daj mi to — rozkazała. — Z tego, co mówił Jed, wywnioskowałam, że nie można mieć do ciebie zaufania, zwłaszcza ciemną nocą.

— Co ty nakładłeś tej pięknej kobiecie do głowy? — zwrócił się Garcia do Jeda.

— Ależ nic takiego — powiedział ze spokojem.



— To jest zwykła bibliotekarka, która zapomniała, że jest na wakacjach i trochę ją poniosło. Uspokoi się na pewno, gdy usiądzie przy biurku.

— Bibliotekarka?! — Wściekłość Jane sięgała szczytu. — Więc po tym wszystkim, tyle masz do powiedzenia o mnie. Tak? Bibliotekarka!

— A, do diabła z tym! — Jed też zaczynał tracić cierpliwość.

— No proszę, ale mam dobrane towarzystwo! — Roześmiał się nieprzyjemnie Garcia. — Skarłały indiański ksiązę, podróżnik po ciężkich przejściach i bibliotekarka, która uważa się za gwiazdę tej dżungli.

Śmiał się przez dłuższą chwilę, po czym zaczął rozwijać mapę.

— Gwiazda tej dżungli?! — Wpadła w furję. — No, ja wam pokażę, co bibliotekarka i gwiazda tej dżungli potrafi!

Zanim zdążyli zareagować, wyrwała Jedowi karabin, odbezpieczyła go fachowo i wycelowała Garcia i między oczy.

— To jest moja mapa, senior!

Garcia był absolutnie zaskoczony takim obrotem sprawy.

Na moment zaległa złowróźbna cisza. Garcia powoli uniósł ręce do góry.

— Ojala... cuidado! Proszę uważać, ta strzelba może wypalić.

— Mapa — rozkazała. — Rzuć ją tutaj.

Garcia zrobił, co mu kazała. Jed schylił się, żeby podnieść mapę, lecz nadepnęła na nią butem.

— Ej! To jest moja kopia. — Spojrzał na nią urażony.

— Już nie — odpowiedziała. Trzymając strzelbę wycelowaną w Garcia, schyliła się ostrożnie po mapę.

Przewodnik był wyraźnie zdenerwowany.

— Gdybyś mogła... — Wskazał na broń.

Jed, patrząc na niego, wybuchnął śmiechem. Gdy opanował się, spojrzał na Jane i na trzymaną przez nią strzelbę.

— Co jest w tym takiego zabawnego? — Zerknęła na niego z ukosa.

— Widok miny Garcii wart jest całego złota tego kraju. —  
odpowiedział.

— Por favor, amigo, powiedz jej, żeby opuściła broń. — Nie było mu do śmiechu.

Prośba ta spowodowała u Jeda jeszcze większy wybuch radości.

— Moja strzelba — powiedział między atakami śmiechu — nie jest naładowana!

— Jesteś tego pewien? — Jane była zaskoczona.

— Tak samo, jak jestem pewien, że nie ma tu nigdzie żadnego złota.

Jane z wściekłością opuściła broń i wycelowała między stopy Jeda. Nacisnęła spust i, ku zdumieniu wszystkich, strzelba wypaliła.

Zaległa groźna cisza.

— Opróżniłem magazynek zeszłej nocy. — Amerykanin jako pierwszy zabrał głos.

— To ja — odezwał się ze skruchą Esachmo. — Pozwoliłem sobie załadować ją za ciebie. Sądziłem, że zorientowałeś się...

Garcia pokręcił w zadumie głową, ciesząc się, że jeszcze ją ma.

— Powinniśmy ruszyć dalej. — Jed postanowił zakończyć ten temat.

Jane chciała oddać mu broń, ale odmówił jej przyjęcia.

— Zatrzymaj ją.

— Nie, dziękuję. Nie będę tego potrzebowała.

— Doprawdy?

— Na pewno.

Spojrzał na nią chłodno i wyciągnął maczetę, by wyciąć ścieżkę w gąszczu bujnej roślinności.

Dotarli przed zmierzchem na suchą, porośniętą trawą wyżynę. Dla Jane oznaczało to możliwość odetchnięcia. Sama nie w pełni zdawała sobie sprawę, jak bardzo potrzebuje czasu, by przemyśleć parę spraw i uporządkować je. Spełniały się jej marzenia, ale przecież nie tak to miało wyglądać! Celowanie z broni w ludzką głowę nie było ani aktem odwagi, ani oznaką rozsądku. Wydarzyło się to, przed czym ostrzegał Garcia.

To żądza złota spowodowała te szalone czyny.

W innych warunkach nawet przez myśl by jej nie przeszło, że może być zdolna do czegoś takiego.

Siedziała na skraju urwiska. Noc była tak ciemna, że nie mogła dojrzeć własnych stóp. Ktoś podszedł do niej, lecz było zbyt ciemno, by mogła go rozpoznać.

— Jed? — zawołała. — To ty?

— Vamanos. Kolacja jest prawie gotowa — oznajmił chłodnym tonem Garcia.

Odwrócił się, by odejść, lecz dziewczyna rzuciła się za nim, powstrzymując go.

— Strasznie mi przykro z powodu tego, co się wydarzyło...

— Mnie także — odpowiedział odchodząc.

— Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

— Gorączka złota. Wszyscy na nią cierpimy.

— Tak, jest jak trucizna — powiedziała, dochodząc do niego. — Jak narkotyk, który uzależnia od pierwszego razu. Pozbyłabym się tego w zamian za coś bardziej uchwytnego.

Garcia, słysząc to, zatrzymał się.

— Bardziej uchwytnego?

— Tak. Potrzebuję czegoś realnego.

— Świetnie! Możemy więc dobić targu.

— Co masz na myśli?

— Przyprowadzę Jeda Smitha prosto w twoje ramiona. W zamian za mapę.

Jane uniosła głowę.

— Nie, dziękuję. Do tego akurat nie jesteś mi potrzebny.

— To dlaczego zajmuje ci to tyle czasu? — Wzruszył ramionami.

— Ile czasu? Znamy się z Jedem zaledwie parę dni. — Przybrała obronną postawę. — Poza tym, znacznie różnimy się co do postrzeganych wartości. On chce gdzieś osiąść, a ja wręcz przeciwnie. Więc ta sprawa jest właściwie już na wstępie rozwiązana.

Zaciągnął się cygarem i machnął ręką.

— Ach, to drobiazg. Taką różnicę zdań można z łatwością pokonać.

— Ale...

— Chodź — przerwał jej. — Esachmo ugotował trochę fasoli. Jest też świeża kawa.

— Jakoś straciłam apetyt. Chyba przejdę się kawalek.

— Uważaj na siebie — ostrzegł ją. — Jeden fałszywy krok i spadniesz w dół.

— Ja zawsze jestem ostrożna. Poza tym, mam latarkę. —

Wyciągnęła ją z kieszeni i włączyła.

— No dobrze, ale bądź czujna. — Skinął głową. Gdy odszedł, poszła w stronę odległych skał.

Przysiadła na trawiastym pagórku na skraju urwiska. Wyłączyła latarkę i położyła obok siebie. Ogarnęły ją ciemności. Jedynie gwiazdy dawały odrobinę światła.

Pograżyła się w rozmyślaniach nad tym wszystkim, co się wydarzyło. Co jakiś czas mówiła głośno do siebie.

— Chce się osiedlić, w dodatku na przedmieściu. Garaż na dwa samochody... — przekomarzała się. — Od dwojga do siedmiorga dzieci i posada na uniwersytecie.

Roześmiała się głośno pod wpływem tej wizji mieszczańskiego życia. Zaczęła wymieniać listę domowych obowiązków.

— Przyjęcia dla kolegów z pracy, przyjęcia urodzinowe dla dzieci, zakupy w warzywnym, pranie bez końca, rachunki do zapłacenia, prasowanie, poszukiwania opiekunki do dzieci. No i psujący się samochód...

Westchnęła, wpatrując się w ciemności przed sobą. Cóż to za pomysł? Czyż nie można spędzić życia na takich podróżach? Albo przynajmniej zapomnieć o domku pod miastem na jakieś dziesięć, dwadzieścia lat? Znow ciężko westchnęła. Wokół panowała absolutna cisza, jedynie trawy i liście poruszały się przy każdym jej słowie.

— Nie mamy ze sobą nic wspólnego! — krzyknęła do gwiazd.

Odeszła zbyt daleko, by ktokolwiek mógł usłyszeć, a gwiazdy nie mogły jej odpowiedzieć.

— Jestem idiotką — powiedziała na głos. — Kocham się w tym strasznym facecie, który jest w zasięgu ręki, a chcę ryzykować życie w pogoni za jakimś skarbem! — Roześmiała się. — Jane White, cierpisz na absolutną głupotę!

Czując się podbudowana tym stwierdzeniem, postanowiła wrócić do obozu.

Nagle potraçała stopą coś metalowego. Gdy usłyszała dźwięk staczającego się przedmiotu, uświadomiła sobie, że właśnie strąciła latarkę.

— O, nie... — Zamarła z przerażenia.

Nie widziała nic, najmniejszego nawet śladu ogniska.

— Hop! Hop! — krzyczała. Nawet echo nie odpowiadało.

— Hej! Chłopcy! Kto-kol-wiek! Ra-tun-ku!! Posuwała się centymetr po centymetrze po trawiastym pagórku.

— Nie mogę być dalej niż pięć minut drogi. Gdybym tylko mogła zobaczyć ogień!

— Szukasz mnie? — Usłyszała głos Jeda.

Odwróciła się z uczuciem ulgi. Jed włączył latarkę. Światło oślepiło ją, uniosła więc dłoń, aby przysłonić oczy.

— Och, Jed! Tak bardzo się cieszę, że cię widzę!

— Widzisz mnie? To niemożliwe, w tych ciemnościach?

— Gdybyś tylko przestał mi świecić prosto w oczy!

— Ciesz się, że to latarka, a nie karabin.

— Naprawdę, bardzo mi przykro z powodu tego, co zaszło. — Zadrzała.

— A mnie nie. — Wciąż świecił jej w oczy. — Byłaś wspaniała.

Postanowiła potraktować to jako komplement.

— Tak sądzisz?

— Nie wierzyłem oczom i uszom. Stałaś z bronią w ręku, panując nad sytuacją. To szaleństwo w twoich oczach było doprawdy porywające. Warto było wybrać się w tę podróż, żeby ujrzeć minę Garcii.

— Faktycznie — odpowiedziała. — Musisz przyznać, że napędziłam wam strachu.

— Strachu? — Roześmiał się. — Nie bądź taka zarozumiała.

— Przecież powiedziałaś...

— Już ja wiem, co powiedziałem — przerwał jej ostro. — Mam skłonności do wyolbrzymiania tego, co mówię. Dlatego spędzamy te wakacje razem.

— To są wakacje?

— Dobrze, jeżeli chcesz, mogę to nazwać dziką pogonią za złotem. Zamyśliła się na moment, spuściwszy głowę. Poczwała, że nadszedł czas, aby wyznać mu całą prawdę.

— Może mi nie uwierzysz, ale jestem już wykończona tą pogonią. Zapadła głucha cisza.

— Doprawdy?

— Absolutnie.

Uniosła głowę. Spoglądając jej w twarz, przekonał się, że nie kłamała. Wyłączył latarkę.

— Długo się nad tym zastanawiałam — dodała.

— I jakie wyciągnęłaś wnioski? — Jego głos dobiegał z bliska.

— Nie jest moim pragnieniem mieszkanie w domu pod miastem... ale mogłabym spróbować. To zależałoby od okoliczności.

— Potrzebne ci było przebycie takiej drogi, żeby to stwierdzić? —  
Wybuchnął śmiechem. — To przerażające.

— Mogę się zgodzić nawet na siedmioro dzieci. Jestem w stanie  
robić pranie i te wszystkie rzeczy — powiedziała to jednym tchem i  
drżącym głosem. Jed nie odpowiadał. Miała wrażenie, że jej serce pęknie.

— No, może nie jestem najlepsza w pracach domowych — zaczęła  
się płatać. — Rozważmy to — ciągnęła dalej. — Znamy się tylko krótką  
chwilę...

— Bardzo krótką chwilę — wtrącił, podchodząc do niej tak blisko,  
że mogła dojrzeć zarys jego twarzy. — Pozwól, że zapytam cię wprost.  
Czy chcesz mi zaproponować małżeństwo?

— Ależ skąd! — wykrzyknęła, czując się upokorzona. — Wcale nie  
to miałam na myśli. Tak tylko rozważałam... Chciałam powiedzieć, że...  
To znaczy, nie do tego zmierzałam.

— No więc, do czego zmierzałaś?

— Ja... chciałam... Kiedyś mówiłeś, że czas porzucić ten tryb życia  
na rzecz domu w Ann Arbor... — Głos jej się załamał. — Małżeństwo jest  
bardzo poważnym zobowiązaniem.

— Wiem.

— Wielu ludzi woli więc... No, wiesz. Dobrze jest... darzyć  
uczuciem kogoś, kogo chce się poślubić...

Jed podszedł jeszcze bliżej.

— To prawda. Odwołujesz się do miłości, panno White?

— No, cóż. Tak. — Zaczerwieniła się. — Nie mogłam myśleć o  
małżeństwie, jeżeli nawet nie powiedziałam ci, że cię kocham. Więc...

— Ależ powiedziałaś.



— Nieprawda!

— Oczywiście, że tak! Przed chwilą mówiłaś, jaka jesteś głupia, jadąc do kraju Yapa i ryzykując życie bez istotnego powodu. Coś takiego paplałaś, prawda?

— Słyszałaś to wszystko?!

— Pewnie. Myślałaś, że pozwolę ci włóczyć się samej po nocy w tej dziczy? — Pokręcił głową. — Doprawdy, Jane, nie doceniasz mnie.

— Śledziłaś mnie! Nie do wiary! Minęła go i zaczęła iść szybko.

— Czekał! — Rzucił się za nią. — To zbyt niebezpieczne miejsce, żeby odgrywać takie sceny.

Odwróciła się wściekła.

— Daj mi natychmiast latarkę — zażądała. Zawahał się przez moment.

— No dobrze, ale nie możesz mieć latarki, jeśli nie masz baterii. —

— Ale ja nie chcę zapomnieć! — Rzucił się na kolana, tuż u jej stóp.  
— Bardzo mnie to wzruszyło.

Nie chciała tego słuchać. Odwróciła się na pięcie, chcąc odejść, zostawiając go w ciemnościach.

— Kocham cię, Jane.

Zamarła nagle, a serce zabiło szybciej.

— Co takiego?

Minęła chwila, nim powtórzył to, co tak bardzo chciała usłyszeć.

— Kocham cię — powiedział z czułością powodującą, że łzy napłynęły jej do oczu.

— Naprawdę? — Nie odwracała się jeszcze do niego. Chciała uwierzyć, ale po tym wszystkim, co się wydarzyło...

— Szczerze i prawdziwie — powiedział to tak przekonująco, że odrzuciła wszelkie wątpliwości.

— Och, Jed — wymamrotała.

Objął ją mocno. Gdy przytulał ją z całej siły, przeszył ją dreszcz emocji.

— Wierzysz w miłość od pierwszego wejrzenia? — zapytała łagodnie.

— Nie — odpowiedział szczerze.

— A prawie od pierwszego wejrzenia? Zrobiłeś na mnie duże wrażenie, gdy tylko wszedłeś do biblioteki. Najbardziej zaimponowała mi twoja energia i pragnienie niezwykłych przygód. Wodospady, Indianie, dżungla... nic nie jest w stanie cię powstrzymać.

Roześmiał się ponownie, lecz tym razem życzliwie.

— Do dnia śmierci nie zapomnę twojej twarzy, gdy celowałaś w Garcie. Czy z komitetem rodzicielskim w Ann Arbor poradziłabyś sobie równie odważnie i bezpardonowo?

— Chyba że miałabym broń na słońca — szeptała. — Komitety rodzicielskie składają się zwykle z potworów.

Znów się roześmiał, zadowolony z takiej odpowiedzi, po czym nagle spoważniał.

— Jesteś nieprawdopodobna — powiedział z uznaniem. — Tak bardzo, że nie mogę cię stracić. Teraz pragnę tylko tego, żeby ostatni etap tej podróży przebiegł bez stresu i paniki.

— No, do tej pory ich nie było. Zaskoczyło go to.

— Skoro tak mówisz, to muszę natychmiast odwołać tę wyprawę, zanim ktoś kogoś zastrzeli.

— A złoto?

— Sądziłem, że już cię nie interesuje. Co to ma wspólnego z nami?

Jane zamyśliła się nad szaleństwem, które ją pochłonęło. Cierpiała na gorączkę złota, a jedynym sposobem, żeby ją zwalczyć, było zaniechanie dalszego poszukiwania. Teraz i raz na zawsze.

— Masz rację. Wracajmy do domu. Jutro rano.

— Naprawdę? — Odszukał ją w ciemności i mocno przytulił.

— Naprawdę — obiecała, czując ulgę. Całowali się.

— Nie umiem ci powiedzieć, jak jestem szczęśliwy z twojej decyzji.

Wiedziałem, że w końcu zrozumiesz.

Ich usta ponownie się spotkały w słodkim pocałunku.

— Wyruszmy zaraz po śniadaniu — zapewnił ją. — Cała szóstka.

— Szóstka? — Zmarszczyła brwi zaskoczona.

— Tak. Ty, ja, Garcia, Esachmo i dwoje tamtych durniów. —  
Odwracając się wskazał ledwie widoczny, migoczący w dolinie płomyk ogniska. — To jest ich obozowisko. Myślę, że są o godzinę drogi stąd.

Jane wpatrywała się w ciemność tak długo, dopóki nie ujrzała słabego światełka. Majaczyło zaledwie kilometr czy dwa od nich. To był obóz profesora Schmidta. Teraz wiedziała, że znaleźli się oko w oko z przeciwnikiem. Ktoś rzeczywiście był na dole. Ktoś, kto dążył do tego szalonego celu, który właśnie porzuciła.

— Pójdziemy do nich rano, czy poczekamy, aż oni do nas dotrą?

— Kto?

— No, profesor Schmidt.

— Ach, to nie jest profesor!

— Więc kto taki? — Jane była wytrącona z równowagi tą niespodziewaną wiadomością.

— Zobaczymy rano. — Uśmiechnął się Jed. — A teraz chodźmy i wypijmy się dobrze.

— Idziemy spać?

Wziął ją za rękę i zaczął prowadzić do obozowiska.

— No, nie od razu. — Roześmiał się serdecznie.

— Nie licz na to.

Zarzuciła mu rękę na szyję i pocałowała.

— Kocham cię, Jed.

Następnego ranka Jane i Jed wstali trochę później niż zwykle.

Powitał ich Garcia.

— Dzień dobry, amigos. Que pasa?

— Och, nic takiego. — Jed wzruszył ramionami.

— Jesteśmy zakochani, to wszystko.

— Zakochani? Czy dobrze słyszę? Mówisz, że jesteś zakochany w Jane?

— Dobrze słyszysz. Ten człowiek powiedział, że mnie kocha.

— Cudowna wiadomość. — Garcia rozpromienił się. — W takim razie, jeżeli nie masz nic przeciwko temu, poproszę mapę.

— Nie rozumiem. — Jed spojrzał na niego. — Co to ma do rzeczy?

— Szsz. — Jane syknęła do Garcii, lecz przewodnik zignorował to.

— Interes to interes. Zgadza się? — Wyciągnął rękę.

— Skoro tak mówisz...

Jed obserwował zdumiony, jak dziewczyna wyjmuje mapę z kieszeni i podaje ją Garcii.

— Jest twoja. Ja wracam dziś z nim do domu.

Oczy mu zabłyszczały, gdy brał mapę.

— Dałaś mi ją, tak po prostu? Ale dlaczego? Nic nie rozumiem.

— Raczej dla kogo — sprostowała. — Dla ciebie.

— Dla mnie?

Skinęła głową i spojrzała tak namiętnie, że otworzył szeroko ramiona, a ona rzuciła się w jego objęcia. Zatracili się w pocałunku pełnym nadziei i miłości.

— Chwileczkę — odezwał się znad mapy Garcia. — Jedną chwileczkę. Co ty mi tu wciskasz? — Wydał z siebie straszny jęk. — Dlaczego mi to zrobiłeś, ty zawszony spryciarzu?

Nie czekając na odpowiedź, zmiął mapę i wrzucił ją do ogniska, gdzie szybko zniknęła w płomieniach.

— Masz za swoje, Garcia — powiedział.

— Co się dzieje? — Jane nie wierzyła własnym oczom. — Ta mapa jest fałszywa?

— Jest jak najbardziej prawdziwa — warknął Garcia. — To jest ta sama mapa, którą miał ze sobą cztery lata temu. Pokazuje drogę do grobowca, który wtedy odkryliśmy.

Jane otworzyła szeroko oczy.

— Przez cały czas wiedziałeś! Wyprowadziłeś nas w pole!

— Ależ skąd! — powiedział łagodnie. — To nie mapa, lecz twoja wyobraźnia była przyczyną tej podróży.

— Zabawiłeś się naszym kosztem! Dlaczego mi nie powiedziałeś?

— Powiedziałem. Mówiłem sto razy, że nie ma żadnego skarbu, ale nie chciałaś mnie słuchać.

Otwierała i zamykała ze zdziwienia usta. Tak, nie mogła zaprzeczyć, ale...

— Dlaczego pozwoliłeś mi wybrać się w tak ryzykowną podróż?

— Przecież bardzo tego chciałaś — odparł natychmiast. — Chciałaś przeżyć przygodę, niebezpieczeństwo. I wszystko to dostałaś. A właściwie — przyciągnął ją do siebie — dostałaś więcej, niż chciałaś.

— Co spowodowało, że ty wybrałaś się w tę podróż?

— Miałem po prostu ochotę. I...

— Tak?

— Wiedziałem, że ciebie pragnę. To było dla mnie jasne jak słońce. Sądziłem, iż odpowiadać ci będzie moje towarzystwo.

Wybuchnęła śmiechem.

— Co za pomysł na randkę!

— Najważniejsze, że skuteczny. — Rozpromienił się.

— Chwileczkę — Garcia wtrącił nerwowo — a co z tym profesorem? Słyszałem, że jest fachowcem w dziedzinie kultury peruwiańskiej. -Wiedziałby przecież, że grobowiec został już odkryty. Dlaczego on dał się wyprowadzić w pole? — Pokręcił głową. — Ja od początku czułem, że Jed będzie chciał mnie oszukać.

— No, już dobrze. — Jed ponownie pocałował dziewczynę. — Będziesz drużbą na moim weselu

— O, chcesz się żenić? — Esachmo po raz pierwszy w czasie całej rozmowy okazał zainteresowanie. — Możesz to zrobić w naszej wiosce. Wesele trwa u nas trzy dni i trzy noce, wypełnione nieustannym tańcem i muzyką.

— O nie, Esachmo, dziękuję — powiedziała. — Nie mam sukni.

— Sukni? Nie będziesz potrzebowała żadnej sukni! U nas panna młoda nie ma na sobie nic, oprócz korony z ptasich piór!

— To co, Garcia? Zostaniesz moim drużbą? — spytał Jed. Przewodnik zmiażdżył go spojrzeniem.

— A tobie musimy znaleźć druhnę — powiedział Jed do narzeczonej. — Co ty na to, by poprosić twoją szefową, Enid Witherspoon?

— Jasne. — Zachichotała Jane. — Wspaniały pomysł. Zapytam jej. Sądysz, że się zgodzi?

— Kto wie? Ale ja ci nie odpowiem na to pytanie. Zapytaj ją sama. Będziesz miała wkrótce okazję. — Wskazał na dwoje ludzi, którzy właśnie wspinali się ścieżką.

Jane omal nie zemdląła na widok nowo przybyłych. Ujrzeni idącą za przewodnikiem Enid Witherspoon we własnej osobie. Szła, niosąc plecak,

ubrana w sportowy strój i adidas. W rękę trzymała mapę. Ciężko dyszała, wspinając się pod górę, a jej przewodnik spoglądał na nią co chwilę z dezaprobatą. Była zaskoczona, gdy ich zobaczyła, ale nie miało to już dla niej żadnego znaczenia. Wyglądała, jakby jedyną rzeczą, która mogła ją teraz uratować, była hotelowa wanna i wygodne łóżko.

— Ty? — Jane była tak bardzo zdziwiona, że nie mogła wydobyć z siebie słowa. — Ty? — powtórzyła po chwili. — Nie mogę w to uwierzyć, to się chyba nie dzieje naprawdę.

— Tak. Zgadza się, to ja. No już, śmieJCie się. Przecież zasłużyłam sobie na to.

Nikt nawet nie drgnął. Jane myślała intensywnie.

— A więc to ty przewróciłaś moje biurko do góry nogami! — krzyknęła oburzona. — Ty ukradłaś mapę Jeda. O, pani Witherspoon, jak mogła pani postąpić tak nikczemnie.

— Masz rację. Nie mogę zaprzeczyć. Gorączka złota robi szalone rzeczy z ludźmi, prawda? Chciałam przeżyć przygodę, tak jak i ty. Ale ta perspektywa odnalezienia skarbu... — Przerwała i zaczęła kręcić głową. — Ja oszalałam!

Nikt się nie odezwał.

Jane przerwała tę grobową ciszę.

— Jeżeli chcesz znaleźć skarb, proszę, idź dalej, droga wolna. Kraj Yapa jest o jakieś pięć dni piechotą.

— Nie, dziękuję — odpowiedziała kwaśno Enid Witherspoon. — Mam już dosyć. Naprawdę dosyć. Czas już zrezygnować i opuścić to miejsce.

— No, to jest odpowiedź. My właśnie zamierzaliśmy zrobić to samo.



— Dlaczego? — Enid przysiadła ciężko na skale. — Macie jakiś powód? Jesteście też tak wycieńczeni jak ja?

Minęła długa chwila ciszy, którą Jane smakowała z lubością.

— Chciałabym jej powiedzieć, jeżeli nie masz nic przeciwko temu — odezwała się do Jeda.

— Oczywiście.

Wyjaśniła wszystko z wielkim dramatyzmem, rozkoszując się każdym słowem. Enid patrzyła na nią z ukosa, aż w końcu wybuchnęła oburzona.

— Co takiego? Jak to, nie ma skarbu? Jak śmiesz mówić coś takiego?

— Jak śmiem? — powtórzyła. — Zwariowałaś?

Enid zerwała się z miejsca.

— Chcecie mi powiedzieć, że przebyłam tę drogę tylko dlatego, że wy myśleliście, iż mapa z ukrytym skarbem jest prawdziwa?

— W każdym razie, mam ci teraz do powiedzenia tylko jedno. — Jane także wstała i wyprostowała się. Spojrzała na swoją szefową wyniośle. — Składam wymówienie.

Enid nie odpowiedziała. Pozostali też milczeli. Jed jednak nie wytrzymał i padł na ziemię, tarzając się ze śmiechu.

— Tu, w środku tej dzikiej, dziewiczej dżungli, składasz wymówienie ze swojej beznadziejnie nudnej bibliotekarskiej roboty? — Spojrzał na Garcie, który zaczął się śmiać razem z nim.

Enid spojrzała na nią tak, jakby miała za chwilę umrzeć z rozpaczy. Pozostali dwaj przewodnicy stali z kamiennymi twarzami.

— Czemu nie? Przecież bierzemy ślub. Chcę teraz wracać do Nowego Jorku i jak najszybciej zobaczyć Ann Abor. Wierzę, że polubię to miejsce.

— To brzmi wzruszająco — odezwała się Enid znużonym głosem.  
— W każdym razie, dla mnie ta podróż była od początku do końca jedną wielką katastrofą.

— A dla nas nie. — Jed podszedł cicho do Jane i objął ją mocno.  
Spojrzała na niego błyszczącymi z radości oczami.

— Przebyłam bardzo długą drogę w poszukiwaniu skarbu, i proszę, znalazłam go!